Dotychczas wyszły:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Powieści poetyckie**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

2, 3 i 4. Bolesławita. **Tułacze**, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Pługa.*

5. Gustaw Le Bon. **Psychologia rozwoju narodów**, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowelle**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego**, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy.*

8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. **Dzieje Księztwa Warszawskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

11. Wiktor Gomulicki. **Cudna Mieszczka**, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

12. Jan Kochanowski. **Psałterz Dawidów**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego.*

13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*

14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perełka**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske Choińskiego.*

16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

17. Teodor Jeske-Choiński. **Stłumione Iskry**, powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego.*

18. Juliusz Słowacki. **Poemata**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studyum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiego.*

20. Maryan Gawalewicz. **Szkice i obrazki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*

Tom.

21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi** (1815—1825), z przedmową *Bronisława Chlebowskiego.*

22 i 23. Franciszek Wężyk. **Władysław Łokietek,** powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta.*

24. Roman Plenkiewicz. **Kształcenie młodzieży** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. **Pojata, córka Lezdejki,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

30. Julian Ochorowicz. **Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu,** z przedmową *Ignacego Matuszewskiego.*

31. Klemens Junosza. **Na zgliszczach,** powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

32 i 33. Anna Potocka. **Pamiętniki,** tłomaczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

34. H. Lachambre i A. Machuron. **Wyprawa Andrée'go balonem do bieguna,** w przekładzie M. O., z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

35 i 36. Berta baronowa Suttner. **Precz z orężem!** historya prawdziwa, obrobił Włodzimierz Trąmpczyński, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

37. Fryderyk hr. Skarbek. **Pamiętniki Seglasa,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

38 i 39. Fridtjof Nansen. **Podróż do bieguna północnego,** w przekładzie i z przedmową *Stanisława Janiszewskiego.*

40, 41, 42. Wiktor Hugo. **Rok dziewięćdziesiąty trzeci,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

43. Klementyna z Tańskich Hofmanowa. **Dziennik Franciszki Krasińskiej,** z przedmową *T. Jeske-Choińskiego.*

DZIENNIK
Franciszki Krasińskiej

(w ostatnich latach panowania Augusta III pisany)

przez

Klementynę z Tańskich Hofmanową

z przedmową

Teodora Jeske-Choińskiego.

WARSZAWA.
DRUKARNIA
Granowskiego i Sikorskiego.
47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 29 Іюня 1898 года.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

W listopadzie bieżącego roku minie sto lat od dnia urodzenia nieodżałowanej dotąd Klementyny z Tańskich Hofmanowej (ur. 23 listopada 1798 r.).

W chwili, kiedy Klementyna Tańska rozpoczęła swoją działalność publiczną (w r. 1819-tym), była nasza literatura pedagogiczna jeszcze białą, niezapisaną kartą. Nie posiadaliśmy wówczas ani dobrych, oryginalnych, do ulepszeń wychowawczych obmyślonych przez: Pestalozzi'ego, Basedowa, Fellenberga, Bella i in., zastosowanych podręczników, ani własnych książek dla dzieci i wieku młodocianego.

Szybko po sobie idące przewroty polityczne w początkach bieżącego stulecia (trzykrotna zmiana rządu w przeciągu lat dwudziestu), ciągły niepokój o niepewne jutro — nie sprzyjały prawidłowemu rozwojowi dzieł pokoju. Mimo to, iż wszyscy światlejsi obywatele kraju czuli potrzebę reformy szkol-

nictwa, nie miał nikt ani ochoty, ani czasu do cichej pracy wychowawczej

Inter arma silent Musae. Polityka zaprzątała wszystkie głowy zdolniejsze, gorętsze, odwracając uwagę od nauki i literatury. Warszawa nie wydała za czasów rządów pruskich w krótkiej epoce Księstwa Warszawskiego ani jednego talentu pedagogicznego.

Kiedy rządcy t. zw Prus Południowych przedsięwzięli reformę szkół polskich, nie zastali na miejscu żadnych podręczników. Dawne dzieła, polecone przez Komisyę Edukacyjną, zestarzały się, wyszły z użycia (oprócz gramatyki Kopczyńskiego i logiki Kondylaka), a nowe nie przybyły.

W braku książek oryginalnych, wprowadzono do szkół przekłady dzieł obcych, głównie niemieckich. Historyi uczyli się nasi dziadowie z podręcznika Schröcka, łaciny z wypisów Gedikego, literatury z *Lehrbuch der Wissenschaftskunde* Eschenburga i t. d.

Kiedy się płeć brzydka karmiła mądrością niemiecką, płeć piękna pluskała się z rozkoszą w różanej wodzie francuszczyzny, bardzo u nas modnej w pierwszej połowie dogorywającego stulecia.

Emigranci, którzy uciekli z Francyi przed gilotyną Jakobinów, rozlawszy się po naszym kraju, zaszczepili w dworach i pałacach, jako nauczyciele

domowi i kapelani, zarazę gallijską, wichrzącą dotąd w pewnych sferach. Kto chciał uchodzić za człowieka dobrze wychowanego, musiał mówić koniecznie po francusku i lekceważyć własny język.

Zarazie tej uległy głównie niewiasty, zawsze wrażliwsze od mężczyzn na pokusy mody.

Tak na pensyach publicznych, jak w domach prywatnych, kładziono w wychowaniu dziewcząt nacisk na francuszczyznę, posługując się oczywiście dziełami francuskiemi.

Marya de Beaumont (ur. 1711 † 1780 r.) i Stefania de Genlis (ur. 1745 † 1830 r.) miały u nas największe powodzenie. Nietylko sprowadzano ich romanse pedagogiczne całemi furami, lecz przekładano je nawet kilkakrotnie na język polski.

Maryi de Beaumont dwa dzieła: *Magasin des enfants ou dialogues entre une gouvernante et ses élèves* (1757 r.) i *Magasin des adolescentes* (1760 r.) przyswoił naszej literaturze pijar, ks. Eustachy Dębicki (trzy wydania);—Stefanii de Genlis czterotomowy romans pedagogiczny p. t. *Adela i Teodor*, czyli *Listy o edukacyi*, kompilacya dzieł Fenelona, Rousseau'a i Basedowa, krzewiąca zasady t. zw. filantropinizmu, i jej *Wieczory Zamkowe* były przez długi czas chętnie witanym gościem w każdym zamożniejszym domu polskim.

Oprócz Maryi de Beaumont i Stefanii de Genlis,

czytały nasze babki z wielką przyjemnością *Elizę, czyli wzór kobiet*, Niemki, Wilhelminy Karoliny von Rebour (ur. 1769 † 1807), Arnolda Berquina (ur. 1749 † 1791 r.) „Przyjaciela Dzieci“ i jedynej autorki polskiej owego czasu, Anny z Radziwiłłów Mostowskiej, sześć powiastek p. t. „Moje rozrywki“ (1806 r.).

Z gleby tak jałowej wyrósł nagle niepospolity talent pedagogiczny, który zabłysnął blaskiem swojskim, niezapożyczonym od wzorów cudzoziemskich. Już pierwsze dzieło Klementyny Tańskiej p. t. „Pamiątka po dobrej matce przez młodą Polkę“ (1819 r.) zwróciło na nią uwagę wszystkich fachowych pedagogów i krytyków. Jan Sowiński, mówiąc o uczonych Polkach (1821 r.), nie szczędził pannie Tańskiej słów szczerego uznania, a Komisya Oświecenia zaleciła jej „Pamiątkę“ wszystkim pensyom i szkołom żeńskim.

„Pamiątka po dobrej matce“ miała odrazu niezwykłe powodzenie. Rozchwytywano ją z taką chciwością, jak „Śpiewy historyczne“ Niemcewicza, „Malwinę“ księżnej Wirtemberskiej, „Pielgrzyma z Dobromilu“ księżnej Izabelli Czartoryskiej i wydano w przeciągu dwóch lat trzy razy.

Główną przyczyną tego niezwykłego powodzenia był duch patryotyczny, który wiał z każdej kartki „Pamiątki.“ Panna Tańska wystąpiła śmiało

przeciw francuskiemu wychowaniu dziewcząt polskich, co zjednało jej wszystkich wrogów cudzoziemszczyzny.

Rzecz szczególna, że ta gorliwa krzewicielka miłości do rzeczy swojskich przesiąkła prawie od kołyski francuszczyzną. Straciwszy wcześnie ojca, człowieka bardzo rozumnego, chowała się panna Tańska w Izdebnie, w domu pani Anieli Szymanowskiej, starościny wyszogrodzkiej, gdzie hołdowano gorliwie zwyczajowi, przyjętemu wówczas w rodzinach zamożniejszych. Pobierała ona wszystkie nauki w języku francuskim, nie widząc prawie książek polskich. Nawet Naruszewicza czytała z przekładu francuskiego.

Polką stała się panna Tańska dopiero w domu matki, w Warszawie, dokąd wróciła w czternastym roku życia. Towarzystwo Woronicza i Wyszkowskiego, którzy nie posługiwali się nigdy mową francuską, i wpływ babki, pani Prowidencyi Czempińskiej, pamiętającej dawne czasy, wychowanej po „staroświecku“, oddziałały bardzo korzystnie na przyszłą autorkę. Klementyna, ucząc swoją młodszą siostrę w języku polskim, uczyła się sama.

Zachwycona powodzeniem „Pamiątki“, pisała Tańska szybko i dużo. W r. 1820 wyszły jej „Powieści moralne“, czyli „Rok w powieściach“, w r. 1822 „Amelia matką“ (dwa tomy), w r. 1823 „Wią-

zanie Helenki.“ W r. 1824 zaczęła wydawać znane „Rozrywki dla dzieci“, zbiór powiastek z celem pedagogicznym, podań narodowych, życiorysów znakomitych poetów, opisów, podróży, komedyjek, anegdot, sentencyj, wypisów z autorów dawniejszych, słowem, całą bibliotekę dla wieku młodocianego.

Zacząwszy od utworów drobniejszych, przeznaczonych dla umysłów i wyobraźni dziecięcych, pięła się Tańska w górę po szczeblach drabiny artystycznej. Już w „Rozrywkach“ pomieściła, między innemi, znany powszechnie „Dziennik Franciszki Krasińskiej“, odznaczający się niepospolitemi zaletami literackiemi. Jej późniejsze powieści, pisane w ostatnim okresie jej działalności autorskiej: „Jan Kochanowski w Czarnym Lesie“, „Karolina“ i „Krystyna“, nie przestały być dotąd, mimo myszki, którą trącą, bardzo przyjemną i pożyteczną rozrywką dla wieku młodocianego.

Zaślubiwszy w r. 1829 Karola Hofmana, przeniosła się z nim w rok potem wskutek wypadków listopadowych do Francyi, gdzie dokonała pod Paryżem, w r. 1845, zasłużonego żywota.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa była w naszej literaturze pierwszą znakomitą autorką dla młodzieży. Już choćby dlatego samego należy się jej wdzięczna pamięć potomnych.

Patryotka, religijna i obdarzona zdrowym roz-

sądkiem, kładła ona w swoich dziełach główny nacisk na cnoty domowe, usiłowała przysposobić krajowi obywatelki, patrzące trzeźwo na życie, naginające się bez oporu i skargi do warunków, w jakich je los postawił. Nie podniecała młodych wyobraźni i apetytów, jak autorki francuskie, malowidłami zbytku i dostatków, ani nie niepokoiła niedojrzałych umysłów zagadnieniami społecznemi lub filozoficznemi. Budziła miłość do rzeczy swojskich, rozwijała i wzmacniała rozsądek, wszczepiała w serca dzieci zasady moralności i uczciwości. Była ona rozumną, dobrą matką dorastającego pokolenia, dbałą przedewszystkiem o powszechne szczęście dziatwy, powierzonej jej opiece.

Ten praktyczny kierunek jej działalności pedagogicznej zniechęcił do niej niesłusznie takich mistrzów słowa, jak Juliusz Słowacki, i takich majstrów powieści, jak Józef Ignacy Kraszewski.

Słowacki pisał po śmierci Tańskiej do matki: „Umarła nam autorka nasza, dla dzieci niegdyś pisząca. Odpoczynek jej, ale nie pokój; bo jeszcze wiele czynić pozostaje; nawet ona sama wiele z tego, co uczyniła, wywrócić musi: tamy przeciwko egzaltacyi kładzione, serca przez nią na kluczyk od śpiżarni zamknięte, a które klucz nieszczęścia będzie musiał otworzyć nanowo. Bo nie na samych prawidłach moralności stoi anioł żywota, ale skrzydła

ma, które go częściej na powietrzu utrzymują, niż na nogach.“

„Egzaltowanemu“ poecie nie podobały się „tamy przeciwko egzaltacyi kładzione“, bo, zdaniem jego, „stoi anioł żywota nie na samych tylko prawidłach moralności, lecz także skrzydeł potrzebuje...“ Niezawodnie... ale takich, co umieją się wznosić na skrzydłach w dalekie błękity uczuć i myśli, posiada każde pokolenie garstkę bardzo szczupłą, ci zaś, co stanowią naród właściwy, wielkie masy, potrzebuja mocnej podwaliny moralności i rozsądku, aby przejść przez życie z pożytkiem dla siebie, a bez szkody dla bliźnich. Przyprawianie zresztą skrzydeł nie jest rzeczą pedagogów. Kto ich z sobą nie przyniósł na świat, ten nie nabędzie ich w żadnym zakładzie naukowym.

Dla wielkich, bezskrzydlnych mas pracowała Klementyna z Tańskich Hofmanowa uczciwie, z pełną świadomością swojego posłannictwa i dlatego zarobiła sobie na pomnik niespożyty w pamięci ziomków.

Jako hołd, należny jej zasługom, pomieszczamy w „Bibliotece“ w setną rocznicę jej urodzin „Dziennik Franciszki Krasińskiej“, który nie stracił dotąd nic na świeżości. Jest to jej najlepsze dzieło beletrystyczne.

Teodor Jeske-Choiński.

1 stycznia 1750 r.,
w Maleszowskim zamku, w poniedziałek.

Tydzień temu, w samo święto Bożego Narodzenia, Imć dobrodziej ojciec mój kazał przynieść sobie ogromną księgę, w którą już od lat kilkunastu, obyczajem wszystkich niemal panów polskich, wpisuje własną ręką rozmaite publiczne i prywatne pisma; są w niej mowy, manifesty, uniwersały, listy, paszkwile, wiersze, wszystko porządkiem dat ułożone; pokazywał nam ów zbiór szacowny, czytał niektóre kawałki; bardzo mi się podobała ta myśl zapisywania ciekawszych zdarzeń i okoliczności; a ponieważ już od lat kilku i po francusku i po polsku dosyć gładko pisać umiem i niezmiernie pisać lubię, ponieważ i we Francyi wiele białych głów podobne rzeczy pisze, przyszło mi na myśl, czybym i ja też cóś takiego według możności mojej rozpocząć nie mogła?

Uszyłam sobie zatem duży sekstern; umieszczę w nim jak najdokładniej cokolwiek się mnie i blizkiej mojej rodziny tycze, wspomnę, jak potrafię, o rzeczach publicznych.

Jmć dobrodziej, jako mężczyzna i człowiek sta-

teczny, niemi wyłącznie swoją księgę zajmuje; on ją układa dla wszystkich i sposobem poważnym; ja, jako panna nieuczona i młoda, moją ramotę jedynie dla własnej zabawy pisać będę, ale z głowy, szczerze i bez pretensyi; będzie to prawdziwy dziennik, bo go prawie codzień pisać zamyślam.

Dziś właśnie nowy rok i poniedziałek, wyborna pora do zaczęcia porządnie jakowej rzeczy; już tydzień jak ją w umyśle układam, trzeba raz z nią wystąpić. Zaczynam więc; mam czas wolny, nabożeństwo odbyte rano, pacierze pozostałe odmówię na nieszporach; jużem ubrana i ufryzowana, właśnie dziesiąta bije na zamkowym zegarze, dwie godziny mam jeszcze do obiadu; napiszę dziś, co tylko wiem o sobie, o rodzinie mojej, o domu naszym, o rzeczypospolitej, a potem pisać będę kolejno, cokolwiek nam wszystkim ciekawego się przydarzy.

Rodziłam się 1743 roku, mam więc rok szesnasty; na chrzcie świętym dano mi imię Franciszki. Słyszałam już nieraz, żem gładka i dorodna i nieraz jak spojrzę w zwierciadło, mnie samej zdaje się, żem ładna.

— Panu Bogu dziękować — mówi Jmć dobrodziejka — a nie chełpić się. On nas stwarza, nie my siebie.

Mam czarne oczy i włosy, płeć białą, żywe rumieńce; chciałabym jeszcze być nieco wyższą, bo lubo wysmukła i wcięta w stanie, są wyższe odemnie białogłowy; ale mnie straszą, że już nie urosnę.

Idę nietylko ze szlachetnej, ale z bardzo dawnej familii Korwinów Krasińskich; to znakomite nazwisko nosząc, broń Boże! abym je kiedy splamić miała,

owszem, radabym uświetnić je jeszcze, i dlatego żałuję czasem, żem nie mężczyzną, gdyż snadniejby mi to przyszło; Jmć dobrodziej i Jmć dobrodziejka tak są przejęci zacnością domu Korwinów Krasińskich, tak często o tem i oni sami i dworscy i goście nawet mówią, tak naganną znajdują rzeczą o swoich antenatach dokładnie nie wiedzieć, że wszystkie mamy tą wiadomością głowy nabite; ja genealogię Krasińskich i histoyę każdego z nich tak umiem, jak pacierz i łatwiejby mi było poczet przodków moich, niźli kolej królów polskich wymienić.

O! niech tylko spróbuję erudycyi mojej w tej mierze! Niech zacznę! Nie skończę tak prędko...

Wreszcie, pewna jestem, że niektóre szczegóły nigdzie nie są zapisane tylko w pamięci naszej, lepiej im więc, choć białogłowskiem piórem trwałość nadać. Może kiedy po mojej śmierci kto ten dziennik znajdzie i wnuki nowe w nim dla siebie wyczytają rzeczy?... Dziwna myśl... niepomału mnie zajęła; ktośby miał za lat kilkadziesiąt po śmierci mojej czytać ten dziennik? A czemuż nie? wieleż to listów, pamiętników we Francyi podobny los spotkał. O! trzeba pisać starownie i wyraźnie, szkoda tylko, żem w styl nie tak wprawna, jak naprzykład pani *de Sevigné*, albo *Motteville;* kto wie? możeby i mnie lepiej po francusku się udało? bo i pewnie... Ale nie; nie wypada, żeby Polka, żyjąc w Polsce, przestając z Polakami, nie po polsku dziennik swój pisała; wreszcie francuski język dziś jest w wielkiem używaniu pomiędzy panami, ale ta moda minąć może i zapewneby się kto w późniejszych czasach ze mnie zgorszył. Jeśli więc tego seksternu myszy nie zjedzą, lub też

przy tylu fryzurach ktoś na papiloty nie podrze, jeśli go kto kiedy znajdzie i przeczytać zechce, niech wybaczy nieumiejętności mojej w wielu rzeczach, niech pamięta, żem się nigdy pisać dziennika nie uczyła, że jeszcze lat szesnastu nie mam i że, co mnie dziś bardzo zajmuje i obchodzi, jemu w innych stosunkach i po tylu latach zapewne obojętnem się wyda...

Ale, co mnie się też zawsze po głowie uwija? Jakież dziwactwa na myśl mi przychodzą? Wystawiam sobie rzeczy, które nigdy nie będą; ja bardzo lubię tak bujać; a tu niema czasu na te urojenia, lepiej wrócić do rzeczy, do zaczętego rodziny mojej opisu; już ani zboczę z drogi, wszystko jednym ciągiem pióra napiszę.

Ród Korwinów znany jest w Polsce od Bolesława Wstydliwego; za jego panowania Warcisław Korwin, ze starodawnej rzymskiej idący familii, przybył tu z Węgier, przy Konradzie księciu Mazowieckim był naprzód marszałkiem dworu, później hetmanem, ożeniwszy się z Pobożanką, szlacheckiego rodu panną, herb swój, kruk z pierścieniem, a inaczej *Ślepowron*, wyniósł nad *Pobogiem*, herbem żony swojej, i taki jest dotąd herb nasz. Wnuk owego Warcisława, Sławomir, od jednych z dóbr swoich *Krasno* nazwanych, pierwszy Krasińskim nazywać się zaczął. Wnuk zaś jego, Andrzej Krasiński, hetmaniąc ludziom księcia Konrada, poległ mężnie na Bukowinie roku 1497, w owej niepomyślnej za Jana Olbrachta przeciw Wołochom wyprawie, w której niemało walecznych Polaków zginęło. On był dziadem Franciszka, biskupa krakowskiego, którego ja bardzo kocham.

Wizerunki wszystkich sławniejszych Krasińskich

wiszą w bawialnej sali naszej [1]), ale ja na obraz biskupa z największem upodobaniem patrzę i bardzo się cieszę, żem jest jego drużbą. On, zostawszy księdzem i kanonikiem, dwa razy od całego duchowieństwa polskiego jeździł do Pawła IV Papieża i bardzo dobrze się sprawił; potem od Zygmunta Augusta wysłany posłem do Maksymiliana cesarza, sprawy sobie zlecone uspokoił; zostawszy biskupem, bardzo wiele do tego się przyłożył, iż w roku 1569 doszła do skutku na sejmie lubelskim unia Litwy z Koroną.

Król Zygmunt August, szacując wysoko wielkie jego przymioty, wyniósł go na biskupstwo krakowskie, a sam niezadługo potem umierając w Knyszynie, od niego na śmierć był przygotowany i Sakramentami opatrzony. Łagodnego charakteru, on jeden z biskupów na sejmie warszawskim roku 1573, w czasie bezkrólewia, podpisał artykuły pokoju z różnowiercami, a gdy mu to wymawiano, usprawiedliwił się oczywiście, iż tak dla prawdziwego dobra kościoła uczynił. Ojczyznę bardzo kochał, nieraz na jej obronę wysyłał własnym kosztem uzbrojonych żołnierzy. W Krasnem wymurował kościół, szkołę i szpital założył. Dwór chował liczny, ubogim znaczne sypał jałmużny; nie stracił braciom i synowcom majątku, ale też go nie przysporzył i po jego śmierci bardzo mało w szkatule pieniędzy znaleźli.

Jeden z synowców biskupa, Jan, kanonik, był sekretarzem Stefana Batorego; bardzo uczony, dosyć

---

[1]) Kopie ich widzieć można w sali pałacu JW. hrabiego Wincentego Krasińskiego w Warszawie.

pism zostawił; w jednem pod tytułem *Polska*, drukowanem w Bononii, opisał prowincye, rządy, obyczaje kraju swego wyborną łaciną i przypisał je Henrykowi Walezyuszowi, żeby i on i jego Francuzi obeznali się z Polską. To dzieło bardzo już rzadkiem się stało; Jmć dobrodziej jeden tylko ma egzemplarz i jak relikwie go chowa; pisał on i o elekcyi Stefana i o śmierci Henryka, wszystko pięknie i po łacinie.

Drugi synowiec biskupa, Stanisław, wojewoda płocki, wiele podróżował; Maltę, Sycylię, brzegi Afryki zwiedził, a z dwóch żon, pięć córek i dziesięciu synów zostawił; siedmiu z nich się ożeniło, mieli potomstwo i rozkrzewili bardzo ród Krasińskich. Jeden z nich Aleksander, towarzysz usarski, za nieszczęsnego panowania Zygmunta III, w tym samym Maleszowskim zamku, w którym ja dziś tak spokojnie piszę, Tatarom, zagony swoje aż po te strony zapuszczającym, tak mężny i dzielny dawał opór, a w wycieczkach swoich tak srodze ich porażał, że wódz, przymuszony odstąpić od zamku, nie mógł przenieść na sobie, ażeby nie zostawił panu jego dowodu swego szacunku. Przez powiernika, także Tatarzyna, przysłał mu w darze co miał najdroższego: zegar, prostej wprawdzie roboty, ale u nich natenczas za dziwowisko miany. Ten zabytek szczególny, ten dar od nieprzyjaciela, od Tatarzyna, który brać, nie dawać umie, chowany jest dotąd z wielką starannością w naszej rodzinie; dwa razy tylko widziałam go, tak go Jmć dobrodziej pilnie chowa, i wiem, żeby go nie oddał za dziesięć zegarów paryzkich z kurantami.

Mężny ten antenat nasz zginął na wojnie moskiewskiej, nie zostawiwszy potomstwa, czego wielce

żałuję; miłoby mi było iść w prostej linii od tak walecznego męża. Synowiec jego, Jan Bonawentura, wojewoda płocki, w Warszawie znacznym nakładem bardzo piękny i wspaniały pałac w włoskim guście wystawił, z dosyć sporym ogrodem. Nie byłam nigdy w Warszawie, więc nie wiem, czy to prawda, ale już od wielu osób słyszałam, że jest jednym z najpiękniejszych gmachów stolicy, nierównie piękniejszej architektury od pałacu Saskiego, a nawet od zamku królów. Ten Jan miał dwóch braci; jeden zostawił dwóch synów: Michała, podkomorzego ciechanowskiego, i Adama, biskupa kamienieckiego, dotąd żyjących; biskup w wielkim jest u wszystkich szacunku i nieraz Jmć dobrodziej mówi, że *kamieniecki* jeszcze przejdzie *krakowskiego* w sławie. Drugi brat Jana Bonawentury, Aleksander, podkomorzy sandomierski, był rodzonym moim dziadem, bo syn jego, Stanisław, starosta nowowiejski, prasnyski, ujski, jest Jmcią dobrodziejem, najukochańszym ojcem moim; pojął za małżonkę Anielę Humiecką, sławnego wojewody podolskiego córkę, Jmć dobrodziejkę matkę moją; ale ta linia Krasińskich na nim zgaśnie z wielkim żalem moim, bo nie mamy brata; za to jest nas sióstr cztery: Basia najstarsza, ja druga z kolei, Kasia i Marynia.

Sługi i dworscy powtarzają mi częto, że ja mam być najpiękniejszą, ale ja doprawdy, że tego nie widzę; wszystkie jesteśmy ułożone, jako na panny wysokiej kondycyi, na starościanki przystało, wszystkieśmy proste jak trzciny, zdrowe jak rybki, białe jak mleko, rumiane jak róże; każdą z nas, zwłaszcza kie-

dy ją *Madame* dobrze wysznuruje, jak to mówią, rękąby objął w stanie.

Na pokojach, przy gościach, umiemy dygać nizko i z *degagé*, siedzieć spokojnie na samym brzeżku stołka, oczy spuścić w ziemię, usteczka ścisnąć, rączki ułożyć; mogłoby się wtedy zdawać komu, że żadna z nas trzech zliczyć nie umie i chodzić dla niej trudnością; ale niechby nas kto widział kiedy w poranki letnie bez sznurówek, bufonek i fryzur, bez trzewików na korkach, ale w rannej dezabilce i w wygodnych patynkach; pozwolą nam państwo iść do lasu, po górach się drapać; biegamy jak łanie, śpiewamy na humor, a biedna *Madame* ledwie nóg i piersi nie straci, tak za nami dąży i woła.

Ja i młodsze moje dwie siostry jeszcześmy mało z domu wyjeżdżały. Końskie, gdzie mieszka ciotka nasza, pani wojewodzina Małachowska i gdzie dwa razy do roku bywamy; Piotrkowice, wieś do nas należąca, w której Jmć dobrodziej, wróciwszy z Włoch, piękną, na wzór Loretańskiej wystawił kaplicę, w której częste bywają odpusty i wiele ludu; Lisów, dokąd parafia Maleszowej, to cała nasza publika; ale Basia, jako najstarsza, już kawał świata zwiedziła. Była dwa razy w Opolu, u ciotki naszej księżnej Lubomirskiej, wojewodziny lubelskiej, którą Jmć dobrodziej nietylko jak starszą siostrę, ale jak matkę kocha i poważa; była przez rok cały w Warszawie u Panien Sakramentek; najwięcej też z nas wszystkich umie, najniżej dyga, najprościej się trzyma i najwięcej ma prezencyi. Myślą państwo, żeby i mnie gdzie na dokończenie edukacyi oddać i lada dzień spodziewam się, że powóz zajedzie, Jmć dobrodziejka

wsiąść z sobą każe i do Warszawy albo do Krakowa pojedziemy.

Wybornie mi w domu, ale Basi i w klasztorze było wyśmienicie; będzie tak i ze mną; a co się wydoskonalę we francuskiej mowie (bez której, jak mówią, dorzecznej białogłowie już żyć na świecie trudno) w menuecie, w muzyce, co wielkie miasto zobaczę, to będzie moje. Ponieważ dotąd nic prawie, prócz Maleszowej, nie widziałam, sądzić nie mogę, czy piękna, czy nie, wiem tylko, że mnie się bardzo spodoba.

Niektórzy mówią, że nasz zamek o czterech piętrach, z czterema narożnikami, otoczony rowem pełnym wody, z mostem zwodzonym, w kraju skalistym i wśród lasów położony, jest nader smutny; ja tego bynajmniej nie doświadczam; mnie tak na świecie wesoło, żebym chętnie, cały dzień skacząc, śpiewała.

Słyszę państwo mówiące nieraz, że im niedosyć wygodnie; w samej rzeczy, jest cztery piętra w naszym zamku, na każdem sala, sześć pokojów i cztery gabinety w narożnikach; jednak, ponieważ nas jest bardzo wiele, nie możemy wszyscy i ze wszystkiem na jednem piętrze się mieścić; na innem jadamy, na innem się bawiemy, a my, panny, aż na trzeciem mieszkamy. Państwo oboje już niemłodzi, przykro im tak codzień wchodzić i schodzić, ale mnie te schody niezmiernie bawią; kiedy jeszcze rogówki nie mam, to często, jak się uchwycę poręczy, to w mgnieniu oka jestem na dole, nie dotknąwszy ziemi.

Pomimo tego, że goście często w ciasnocie mieścić się muszą, bywa ich bardzo wiele i nie wiem, czybyśmy w wielkich gmachach lepiej bawić się mo-

gli? Czy Maleszowski zamek, choćby trzy razy był większy, mógł być świetniejszy? Tak w nim huczno, dworno i okazale, że go sąsiedzi *małym Paryżem* zowią; osobliwie, jak Bóg da zimę, to już kapitan dragonów naszych mostu przed wieczorem spuszczać nie każe, tyle się zjeżdża osób; kapela nadworna ma co do roboty, gra codzień, a my tańczymy do upadłego.

I lato nie jest bez przyjemności. Chodzimy, jeździmy, poobiedzia trawimy w naszej sieni, która jest wyborna; niezmiernie wysoka, bo przez wszystkie piętra zamku idzie, oświecona z góry, w największe upały tak w niej chłodno, jak w piwnicy [1]).

A i dworu naszego przepomnieć nie mogę. Stosownie do majątku państwa, który jest bardzo znaczny, do mnóstwa osób, które prawie nieustannie w zamku Maleszowskim goszczą, musi być liczny i okazały; jest też takim i nie wiem, czyby wielu panów w Polsce przejść nas mogło w tej mierze?

Dwór nasz składa się z *dworzan* i z *dworskich;* dworzanie w większej są powadze; jedni są *respektowi*, drudzy *płatni*, wszystko sama szlachta z szablą u boku; niektórzy z nich byli wprawdzie przed tem czynszowi, czyli okoliczną szlachtą, lecz Jmć dobrodziej powiada:

— Szlachcic na zagrodzie równa się wojewodzie. — Nikt im więc żadnego zarzutu nie czyni, uchodzą za szlachtę, na sejmikach mają głosy i do-

---

[1]) Zamku Maleszowskiego już niema; przedostatni właściciel rozrzucić go kazał, ale żyje jeszcze wiele osób, które go w całości widziały.

brze ich mieć za sobą. *Respektowych dworzan*, których jest kilkunastu, taka cała funkcya: przyjść na pokoje, czekać przybycia Jmść dobrodzieja, prezentować mu się w przyzwoitym ubiorze, z miną do usług gotową, wykonać śpiesznie rozkaz jego, jeśli da jaki; jeśli nie, rozmawiać z nim, grać w karty, towarzyszyć mu w czasie odwiedzin albo przejażdżki, bronić go w każdej potrzebie, głosować za nim na sejmikach, i jego i gości, kiedy są, bawić. Tej ostatniej powinności najlepiej dopełnia nasz *Macieńko*. Szczególny to człowiek, a powiadają, że dawniej takich ludzi bardzo wielu bywało i nie mógł się żaden dwór obejść bez takiego; niby on jest głupi, niespełna rozumu, a tymczasem bardzo trafnie o wszystkiem sądzi i często bardzo dowcipnie się odezwie. Żaden z dworzan jego przywilejów niema, jemu zawsze wolno mówić i to prawdę. Dwór cały zowie go błaznem, ale my zowiemy go *Macieńkiem*, bo mu Maciej na imię i na tamten przydomek bynajmniej nie zasługuje.

Do respektowych dworzan należy sześć panien dobrego urodzenia, które z nami mieszkają, pod naszej *Madame* są okiem, i dwóch karłów. Jeden z nich ma lat 40, twarz starą, a wzrost czteroletniego dziecka, ubierają go po turecku; drugi ma lat 18, bardzo foremny i ładny, po kozacku chodzi; często na zabawę Jmć dobrodziejka stawiać go każe na stole w czasie obiadu, i on tak się przechadza pomiędzy półmiskami i butelkami, jakby po ogrodzie. Dworzanie respektowi nie biorą żadnych zasług; prawie wszyscy są synami dosyć majętnej szlachty, oddani do naszego dworu, dla nabrania ułożenia i dla promocyi do

urzędów. Daje im się jednak obrok na parę koni i dwa złote na tydzień na masztalerza, albo na pacholika, którego sobie utrzymywać powinni.

Każdy ma swojego służkę, jeden go po węgiersku, drugi po kozacku ubiera; to moja największa zabawa patrzeć, jak każdy z nich w czasie obiadu lub wieczerzy za panem swoim stoi, zagląda na jego talerz ciekawie, oblizuje się i łyka zawczasu, i radby wydrzeć oczami każdy kawałek, który on do gęby kładzie; bo to, co mu pan zostawić raczy, całem jest jego jadłem; dla tych służków stołu osobnego niema.

Macieńko codzień dziwne rzeczy ze swoim pacholikiem wyprawia, często boki zrywamy, śmiejąc się z nich obudwóch.

Płatnych dworzan jest więcej niźli respektowych. Ci nie siadają do stołu, prócz kapelana, doktora i sekretarza, marszałek i piwniczny stoją za stołem, chodzą, patrzą czy gdzie komu czego nie brakuje; państwu i gościom codzień i gęsto wina dolewają, dworskim tylko w dnie świąteczne i to po małej lampeczce. Komisarz, podskarbi, koniuszy rękodajny [1]), szatni — wszystko to u marszałkowskiego stołu siada.

Już to i ci dworzanie, co z nami siadają, honoru mają wiele, ale korzyści niedużo; bo nie zawsze jedzą to samo, co my, chociaż z tego samego półmiska; naprzykład na pieczyste kucharz ułoży na wierzchu drób i zwierzynę, a pod spodem jest pieczeń wołowa albo wieprzowa, dlatego też kawał stołu, przy

---

[1]) Rękodajnym zwał się dworzanin, wyznaczony do asystowania pani domu i powodowania ją za rękę, gdy gdzie szła lub jechała.

którym siedzą, *szarym końcem* się zowie. Chociaż na dwóch ogromnych półmiskach każdą potrawę obnoszą i z początku zdaje się niepodobieństwem, żeby zniknąć miały te fury zrazów albo bigosu, bardzo często ostatniemu ledwie łyżka strawy się dostanie. Potężnie wszyscy jedzą, i czy jak codzień kucharz da cztery potrawy, czy siedm w dnie świąteczne, czy dwanaście, kiedy wiele gości, jeszcze nie pamiętam, żeby co kiedy zeszło ze stołu.

Panny służebne w równej są u nas godności, jak dworzanie respektowi, bo do naszego stołu siadają.

Dworzanie płatni wcale sute biorą zasługi, od trzechset do tysiąca złotych, obrok dla koni, barwa dla służącego, ale też Jmć dobrodziej wymaga, żeby porządnie chodzili i osobliwie kiedy są goście, ażeby się prezentowali suto i modnie. Kiedy z którego kontent, to znajdzie łatwo sposobność obdarzenia go, a co rok, w dzień imienin swoich, hojne im daje podarunki, to z garderoby, to w gotowiznie.

Dworskich nierównie jest u nas więcej, niż dworzan, wszyscy pod jurysdykcyą marszałka, który ma moc strofować ich i karać; w pierwszym rzędzie są pokojowcy, ci zwykle są szlachtą i tylko w tej służbie jakby nowicyat odprawiają, niedłużej nad trzy lata; wszystko chłopcy młode od lat 15 do 20. Tych, choć marszałek bić każe, jak innych, skoro przewinią, nie rozciągają na gołej podłodze, jak liberyę prostej kondycyi, ale na kobiercu. Nasz marszałek dosyć jest surowy, częste plagi rozdaje. Powszechne jest zdanie, że tak czynić z młodzieżą przystoi dla utrzymania jej w przyzwoitej ryzie. Jmć dobrodziej zawsze

powtarza, że w całym zamku Maleszowskim niema pokoju, niema stołka, na którymby plag nie dostał— może dlatego taki dobry?...

Pokojowców mamy kilkunastu; jednemu z nich, Michałowi Chronowskiemu, dorodnemu, ale ubogiemu szlachcicowi, w dzień Trzech Króli nowicyat się skończy, będzie ceremonia wyzwolenia.

Całą służbą pokojowca jest: być na pokojach pańskich, dobrze ubranym, prawie od rana do wieczora; kiedy jedziemy powozem, asystować konno albo pieszo i być zawsze gotowym do posyłki; bo czy państwo list mają pilny, czy chcą gości jakich zaprosić, czy podarek komu posłać, zawsze pokojowców używają.

Reszty dworzan i wyliczyć trudno; doprawdy ani wiem, jak wiele u nas kapeli, kucharzy, hajduków, kozaków, pacholików, chłopców, garderobian, dziewcząt służebnych. Wiem tylko, że jest pięć stołów, a dwóch szafarzy od świtu do południa mają co robić z wydaniem na obiad i na wieczerzę. Bardzo często Jmć dobrodziejka jest przy tem, zwłaszcza kiedy nowe do magazynu przywożą prowianty; klucz zaś od apteczki, gdzie korzenie, specyałki i dobra wódka, zawsze przy niej, a co rano marszałek podaje jej spis potraw, jakie mają być na obiad i na wieczerzę, a ona z radą Jmć dobrodzieja zmienia je lub pochwala.

Porządek naszego życia jest zwykle taki: wstajemy letnią porą o szóstej, zimową o siódmej godzinie; wszystkie cztery sypiamy razem w jednym pokoju na trzeciem piętrze razem z *Madame;* każda z nas ma łóżko żelazne z firankami. Basia, jako najstarsza,

ma dwie poduszki i becik mantynowy; my po jednej i kołdrę flanelową; wstawszy i ubrawszy się naprędce, mówiemy z *Madame* pacierz francuski, poczem zaraz do nauki. Dawniej dyrektor uczył nas wszystkie po polsku czytać, pisać i rachować, a ksiądz kapelan katechizmu, ale teraz tylko Kasię i Marynię uczy, a Basię i mnie sama *Madame*. Uczemy się na pamięć rozmów i wokabuł z gramatyki, słów i anegdot z Nomenklatora, a o ósmej godzinie schodziemy na dół do państwa na dzieńdobry i na śniadanie.

Polewkę piwną w zimie, mleko w lecie prawie codzień jadamy, w dnie postne żurek bardzo wyśmienity. Po śniadaniu idziemy wszyscy na mszę do kaplicy zamkowej, która jest bardzo piękna i z chórem. Tam po mszy kapelan czyta modlitwy po łacinie; cały dwór i my mówiemy je głośno za nim. Muszę się też kiedy spytać, co one znaczą. Po tem nabożeńswie wracamy na górę uczyć się wokabuł i słów niemieckich; piszemy też i listy na zadania. *Madame* nam wiersze poety francuskiego *Malherba* dyktuje. Mamy też klawicymbał i metra do niego Niemca, który też kapeli nadwornej przewodzi i trzysta złotych bierze; wszystkie się uczymy grać, Basia wcale niczego brzdąka; potem kładziemy podwłośniki i fryzyer nadworny po starszemu nas fryzuje; często ból srogi ponieść wypadnie, osobliwie gdy nową jaką tworzy fryzurę. Ja mam najdłuższe i najgęstsze włosy, po ziemi się wloką, gdy na taborecie przed gotowalnią siedzę; na mojej też głowie zwyczajnie próby swoje robi. Ale prawda, że dziwnie piękne i sztuczne układa fryzury. Dzisiejsza naprzykład, w moim guście najpiękniejsza, bo jakaś jakby z niechcenia, wło-

sy wszystkie sczesane do góry, część ułożona w pukle na wierzchu głowy, część zawinięta, spada kręcąc się na kark i ramiona. Pudru w nich z pół funta.

Ubiór nasz trwa parę godzin, przez ten czas uczemy się na pamięć różnych przysłów francuskich, a bez pamięci—cierpliwości. Jak teraz, to czas gotowalni krótszy mi się wydaje, bo nam *Madame* czyta głośno dzieło najnowsze, dziwnie zabawne i arcymoralne, *Magasin des Enfants* przez panią de Beaumont napisane. Są to rozmowy guwernantki z elewkami; wyborne rozpowiada im bajki.

O dwunastej, skoro na Anioł Pański zadzwonią, odmówiwszy go, schodziemy na dół na obiad i już do końca dnia państwo u siebie bawić nam pozwalają.

Dwie godziny siedzi się zwykle u stołu, potem przechadzka, jeśli pora sprzyja.

Mamy też raz na raz pilną robotę do naszego kościoła do Piotrkowic, haftujemy w krośnach póki tylko widno, a przy świecy robiemy siatki na wyścigi; świec pali się zawsze kilkanaście w srebrnych pająkach; chociaż żółte, bo z naszego wosku i domowej roboty, przecież bardzo widne. Ja tej już zimy wieczorami do całej komeżki zrobiłam siatkę z pokrzywki i poszyłam ją w drobne muszki.

Wieczerza o siódmej i zimą i latem. Po wieczerzy już niema roboty, tylko zabawa. Gramy w karty, w maryasza albo w drużbarta; warto zobaczyć, jakie miny Macieńko wyrabia, kiedy ma dolę, albo siódemki, ja pękam od śmiechu.

Kiedy nadejdzie dzień, w którym pokojowiec, wysyłany co tydzień do Warszawy powraca, kapelan

czyta „Gazety“, „Kuryera“, listy; niektórym wiadomościom bardzo chętnie się przysłuchuję. Często także czyta nam Jmć dobrodziej stare kroniki, czasem nudne, ale czasem wcale zabawne; wyznam jednak, że mnie francuskie daleko więcej od polskich zajmują i nierównie więcej ich czytałam. Nasza *Madame* ani słowa po polsku nie umie, z państwem raz w tydzień, a z nią codziennie czytujemy. Jak w zapusty, to jeszcze rzadsze czytanie, gości pełno, a wtenczas gry, muzyka, taniec.

Ani sobie wystawiam, jak się bawią w Warszawie, u dworu; bo oczywiście, że jeszcze lepiej i huczniej, niż w Małeszowskim zamku. Radabym z duszy przez ciekawość samą zakosztować kiedyś tych zabaw...

Ale co słyszę? Już na dwunastą dzwonią. Trzeba pióro rzucić, Pozdrowienie Anielskie co tchu odmówić, fryzurę poprawić, biedz na dół i zostawić na jutro, com dziś jeszcze w tym dzienniku napisać zamierzała.

2 stycznia we wtorek.

Wczoraj byłam zajętą, jak Jmć Dobrodziej zowie *prywatą*, to jest domowemi rzeczami, dziś zajmuje mnie *publica*, czyli rzeczy publiczne. Nie byłabym godną być Polką, gdyby mnie nie obchodziło to, co z krajem moim się dzieje; częsta też o nim w domu naszym mowa; ja zawsze przysłuchiwałam się temu pilnie, ale od czasu, jak ten dziennik pisać zamierzyłam, dwa ravy więcej nadstawiam ucha. Mam więc co powiedzieć. — Dziś u nas nad Koroną i Li-

twą panuje August III, elektor saski; siedemnastego tego miesiąca 25 lat się skończy, jak go biskup krakowski koronował. Przeciwna mu partya, jak niegdyś ojcu jego Augustowi II, chciała po drugi raz wynieść na tron Stanisława Leszczyńskiego; lecz August potężne miał wsparcie i przy nim korona została. Leszczyński, któremu nawet przeciwna strona nic zarzucić nie może, jedno to, iż nie miał pieniędzy i wojska, wrócił do swoich Lotaryńczyków, których dotąd uszczęśliwia. Do ubiegania się o koronę polską, na którą dzisiejszy król po śmierci ojca obojętnie miał spoglądać, powiadają, że go najwięcej namówiła żona jego Marya-Józefa, a tej pani powszechnie tę oddają sprawiedliwość, że była godną być królową polską. Kochała Polaków, intryg nie lubiła, męża odwodziła od złego ile mogła, miłosierna, dobroczynna, pobożna, dobra żona, dobra matka, surowych obyczajów, zbiorem cnót niewieścich nazwać ją było można; drugi rok temu jak umarła, czternaścioro dzieci miała, jedenaścioro zostawiła żyjących, siedem córek i czterech synów. Pamiętam dobrze, jakim żalem jej śmierć wszystkie serca napełniła. Po wszystkich kościołach w Litwie i w Koronie żałobne za nią odprawiło się nabożeństwo; w naszych Piotrkowicach były sute egzekwie; ubodzy szczególniej rzewnie płakali, bo prawdziwą w niej matkę stracili. — Król bardzo ma być łagodnego i dobrowolnego umysłu, polega też zupełnie na zdaniu ministra swojego, Brühla; ten prawdziwie i nim i Polską i Saksonią rządzi. W Saksonii teraz bardzo źle się dzieje; Prusy, owo nowopowstałe państwo, dziś prawie Europą trzęsą. Wielki, jak mówią, człowiek

nad niem panuje. Kurfirst Brandeburski 1701 roku tytuł króla pruskiego przybrał i sam sobie na głowę koronę włożył. Rzeczpospolita dotąd tego tytułu nie przyznała, a dziś następca jego podług upodobania, gotów drugim korony kłaść lub zdejmować; sam opiera się Austryi, Saksonii, Rosyi i codzień kraje swoje powiększa; zręczność jego, biegłość w polityce, znajomość sztuki wojennej ma być niepojęta, a przy tem filozof, uczony i charakteru dzielnego. Słyszałam już nieraz mówiących: Oj! Fryderyka Wielkiegoby teraz Polsce na króla potrzeba! Ale kiedy nietylko nie mamy go na naszym tronie, ale owszem, na przeciwnym sobie, dodają także mądrzy ludzie i te słowa: „Bodajbyśmy z łaski jego później, czy prędzej nie zginęli! bodajby to państwo, które z Polaków powstało, nie zgubiło kiedy Polaków!“ Bo jak ciż sami mądrzy ludzie do ucha sobie szepcą, źle z Rzeczpospolitą się dzieje, a co jest najgorsza i na to życie i na tamto, co do wszelakiej wielkości największą bywa przeszkodą, coraz mniej w Polakach ma być starodawnej cnoty; wszyscy prawie szukają dogodzenia własnej ambicyi, własnego zysku, zapominają o wspólnej matce; aby im dobrze było o ogół nie stoją; sejmy, choć się zbiorą, nie dochodzą, nic więc dobrego uradzić nie mogą, napróżno głos księdza Konarskiego i kilku prawdziwych Polaków woła na tych obłąkanych; nie słyszą go, bo już przeważyła złych i podłych szala i patrzeć tylko chwili, kiedy wszystkich za sobą pociągnie. Jednak jest jeszcze nadzieja, może być ratunek. Nasz tron jest elekcyjny, król dziś nam panujący bardzo stary, ma lat 63, niezadługo więc może być inny. Ten, jeśli bę-

dzie wysokiego umyslu, cnoty stałej, niepospolitego męztwa, potrafi wybawić Rzeczpospolitę. Jeszcze w granicach swoich jest nienaruszona, jeszcze ogromny kraj posiada. Pan Bóg dobry i miłosierny udzielić raczy dzielności głowie narodu, zgody członkom i ocaleni będziemy. Już tej głowy narodu, jego przyszłego króla, wszyscy wypatrują ciekawie; kilku mają na oku, mnie o dwóch słyszeć się zdarzyło; jednym jest Stanisław Poniatowski, syn kasztelana krakowskiego, który w takich był łaskach u Karola XII i księżniczki Czartoryskiej; drugim jeden z synów naszego króla, królewicz Karol. Nie wiem dlaczego ku temu drugiemu serce moje więcej się skłania, chociaż tamten bliższy, bo rodak; ale już wiem dlaczego: więcej przymiotów w nim wszyscy upatrują. Osoby, które niegdyś rządzić nami mogą, obchodzić nas muszą; napiszę więc tutaj, co tylko wiem o obudwóch. Poniatowski jest młody i bardzo piękny, uprzejmy, zwiedził wiele krajów, przejął grzeczność francuską i bialogłowom szczególnie dziwnie podobać się umie, nauki i uczonych bardzo lubi. Przeszło cztery lata ciągle w Petersburgu gościł, jako sekretarz Rzeczypospolitej poselstwa, teraz niedawno odwołanym został. Królewicz Karol ma lat 26; z czterech synów dorosłych króla, on jest trzeci z rzędu, najwięcej od ojca i od wszystkich kochany i, jak mówią, najgodniejszy kochania; postawa jego ma być okazała, twarz nadzwyczajnie przyjemna, łagodna, obejście się z każdym miłe. Rzadki ma dar serc ujmowania; prawie od urodzenia ciągle bawi w Polsce, kocha Polaków, zna nasz język; w Rzeczypospolitej i na grzecznym dworze chowany,

ani jest dumny, ani nadto się pospolituje. Uznawszy w nim te przymioty, król nasz, który synów swoich przy różnych dworach mieścić się stara, tego przeznaczył do służby w wojsku rosyjskiem i do zarabiania na życzliwość dworu, na którego opiekę najwięcej rachuje. Rok będzie niezadługo, jak go pierwszy raz do Petersburga wyprawił; miał w tem jeszcze i inne widoki, chciał, żeby królewicz księciem Kurlandyi mógł zostać. O tem księstwie Kurlandzkiem, jak sobie zapamiętam, tak mówiących słyszę i oto jest, co mi o niem zostało w pamięci. Księstwem Kurlandzkiem, państwem hołdowniczem Polski, król nasz, nie wiem doprawdy jakim sposobem, miał prawo raz już tylko rozporządzić. W roku 1737 oddał go prawem lennem hrabiemu Bironowi i potomstwu jego płci męzkiej, ale Biron, niegdyś faworyt imperatorowej Anny, wpadł w niełaskę i wygnany był razem z rodziną na Syberyę; tam już lat kilkanaście siedzi, a księstwo Kurlandzkie dotąd było bez pana. Król nasz, namawiany oddawna do rozporządzenia niem nanowo, nakłonił się dać je synowi swojemu; ale do ważności tego daru przychylenia się Rosyi i stanów kurlandzkich trzeba było, gdyż Biron nie był prawnie, tylko jakby tymczasowo z tej godności wyzuty. Któż mógł snadniej to przychylenie sprawić od królewicza Karola, który tak skłaniać serca ku sobie umie? Jadąc do Petersburga, zatrzymał się czas jakiś w Mitawie, stołecznem mieście Kurlandyi, i ujął sobie znaczniejszych obywateli. Przyjechawszy do Petersburga, zaledwie kilka tygodni zabawił, kiedy imperatorowa Elżbieta oświadczy-

ła publicznie, że już nigdy ani Birona, ani synów jego nie odwoła z wygnania i że żąda nawet, aby król polski synowi swemu księstwo Kurlandzkie nadał. — To jej oświadczenie i zalecenie uroczyście było oddane w roku przeszłym królowi w chwili, kiedy się sejm zgromadzał; ale że ten, według panującego od jakiegoś czasu obyczaju, zerwanym wcześnie został przez Podhorskiego, posła wołyńskiego, nie mogła być ta okoliczność na nim roztrząśnięta; zwołano więc radę senatu. Wielkie były spory; niektórzy senatorowie, osobliwie książęta Czartoryscy, dowodzili, że król niema już prawa rozporządzać Kurlandyą, zwłaszcza bez sejmu; że Biron, nie wytrzymawszy procesu kryminalnego i sądu, nie może być pozbawionym nadanego sobie raz księstwa, że wreszcie nadanie go królewiczowi trwałem nie będzie, bo ze śmiercią panującej imperatorowej wszystko odmienić się może; nic to nie pomogło, 5 tylko głosów było przeciwko królewiczowi, 128 głosów za nim, oczywiście więc przeważyli. Wielki kanclerz koronny *Diploma* na to księztwo mu oddał, a dziś właśnie jest dzień naznaczony na *Inwestyturę*; wielkie uczty mają się odprawiać w Warszawie. Król z radości, że doszła część widoków jego względem ukochanego syna, mówią, że o dziesięć lat odmłodniał. Ja wiedzieć nie mogę czy to źle, czy dobrze się stało. To wiem, żem bardzo z tego kontenta, bo dobrze królewiczowi życzę. Nie wiem doprawdy, zkąd, za co i dlaczego, ale mocno mnie obchodzi; zdaje mi się, że los Rzeczypospolitej wkrótce od niego zależeć będzie, że on burzę Polakom grożącą odwróci, rząd dobry, prawa nam nada; tego wszystkie-

go nie będzie mógł zrobić, jeśli królem polskim po ojcu nie zostanie, a wszyscy mówią, że księstwo Kurlandzkie bardzo mu może posłużyć za stopień do tronu. Bądź co bądź, żal mi trochę, żem w tej chwili nie w Warszawie, ciekawabym była uczt, festynów, króla, dworu, a nadewszystko królewicza. Będziemyż przynajmniej zdrowie jego u stołu spijać i głośne wykrzykiwać wiwaty.

Dnia 3 stycznia.

Wczoraj, kiedy w najlepsze przy odgłosie nadwornej kapeli i strzelaniu naszej dragonii piliśmy razem z gośćmi zdrowie księcia kurlandzkiego, pokojowiec wysłany do Warszawy wrócił i przywiózł listy donoszące, że dla słabości królewicza odłożona uroczystość inwestytury na 8 stycznia. „To jakaś niedobra wróżba — powiedział Macieńko — usunęła się mitra, wysunie się i korona.“ Jam się zasmuciła. Ale nie mogłam być długo smutna, po obiedzie przyjechało więcej gości; przyjechała pani podczaszyna z synami i córką, i nareszcie pan Świdziński, wojewoda bracławski z synowcem, księdzem Wojciechem, jezuitą; ten już był w Maleszewie kilka razy, bardzo zacny i pobożny. Państwo niezmiernie go lubią i szacują wysoko; chociaż jeszcze nie stary, wszyscy jako księdza, całujemy go w rękę, na Basię szczególniej łaskaw, przywiózł jej różaniec i nową książkę do pacierza, *la Journée du Chrétien;* przy wieczerzy siedział przy niej i kilka razy do niej przemówił. Nic dziwnego, Basia najstarsza, najlepsza, wszyscy zawsze dla niej najgrzeczniejsi.

Dnia 5 stycznia, w piątek.

Ciągle bawi pan wojewoda z synowcem i inni goście, a dziś podobno nowi przybędą. Przyjadą obadwa synowie pana wojewody, starszy starosta radomski, młodszy pułkownik wojsk króla Jmci. Pan wojewoda, wdowiec od lat kilkunastu, ma prócz tych synów dwie córki, obie już za mężem; starsza, Bona, jest za Granowskim, wojewodą rawskim, młodsza, Maryanna, za Lanckorońskim, kasztelanem połanieckim; tej niedawno odprawiło się wesele. Tych panów Świdzińskich bardzo jestem ciekawa, bo obadwa chowali się we Francyi, w Lunewilu; zupełnie inaczej muszą wyglądać niż nasi Polacy. Dobry król Stanisław, choć w obcym mieszka kraju, przecież swoim rodakom chce być użytecznym; utrzymuje własnym kosztem kilkunastu z młodzieży polskiej, tam im najpiękniejszą edukacyę dawać każe; panicze z najpierwszych familij ubiegają się o ten zaszczyt, wanajdują sobie pokrewieństwa z Leszczyńskim, choćby najdalsze, i niema dla młodego kawalera lepszej rekomendacyi, jak kiedy powiedzieć o nim można: *edukował się w Lunewilu, był w Paryżu.* Już na ten czas pewnie grzeczny, umie po francusku i z gracyą tańcuje menueta i kontredanse. Wszyscy też kawalerowie, z Francyi przybyli, wielki, zwłaszcza u białych głów, mają sukces, i powtarzam, żem niezmiernie panów Swidzińskich ciekawa.

Dnia 6 stycznia, w sobotę.

Przyjechali wczoraj po obiedzie; nie mogę powiedzieć, żeby byli tak, jakem ich sobie wystawiła, zwłaszcza pan starosta. Jam myślała, że zobaczę jakiegoś młodego wysmukłego trefnisia, podobnego do księcia *Chéri* (tak ślicznie wystawionego przez panią Beaumont), który nie inaczej tylko po francusku mówić będzie, a pan starosta już niemłody, ma lat trzydzieści, dosyć otyły, tańcować nie lubi i nawet nie wiem, jak mówi po francusku, bo się ani razu z francuzczyzną nie odezwał; łacinę tak miesza, jak i ojciec jego. Pan pułkownik lepiej mi się podobał, młodszy, w mundurze, i przecież parę razy po francusku przebąknął. — Dziś trzy króle, dzień wesoły,. odprawi się ceremonia wyzwolenia Michała Chronowskiego i ogromny placek pieką w kuchni z migdałem. Kto też go dostanie? ach! mój Boże! gdybym ja królową została! mnieby wieniec na głowę włożyli, jabym miała prawo przez cały wieczór rej wodzić w zabawach! O! dopiero byłyżby tańce!... może i tak będą, bo bardzo wiele spodziewamy się gości. Mruczał sobie stary nasz kredencerz pod nosem, że przed kościołem w *Piotrkowicach* pełno ma być karet, kolasek i bryczek; on już zawczasu zrzędzi i narzeka na robotę, a ja z radości skaczę; mój Boże! jak to jedna rzecz jednego martwi, a drugiego cieszy.

Dnia 7 stycznia, w niedzielę.

O! w samej rzeczy pełno było i jest gości; staremu Jacentemu przybyły dwie nowe zmarszczki na czole, ale my zabawiliśmy się cudownie. Nie ja, lecz Basia została królową, i równie wesoło zszedł mi wieczor, jak gdybym ja nią była. Kiedy przy końcu obiadu, po rozdaniu placka, Basi *migdał* się dostał, jakby we krwi stanęła; a gdy to nasza *Madame* przy niej siedząca na głos oświadczyła, wszyscy będący u stołu, nawet dworscy, za stołem krzyknęli *Wiwat!* Macieńko odpowiedział z uśmiechem: *kto dostał migdała, dostanie Michała.* Bo to podobno jest taka wróżba: której pannie w dzień Trzech Króli migdał się dostanie, ta jeszcze w te same zapusty za mąż pójdzie. O! dałby Bóg, żeby się ta wróżba na Basi ziściła! mielibyśmy wesele. — Pan starosta ciągle mi się nie podoba, taki poważny, wczoraj tylko polskie tańce tańcował, o Paryżu i o Lunewilu bardzo mało rozprawia, z nami, pannami, wcale się nie wdaje, do żadnej nie przemówił, z państwem jedynie rozmawia, gra w maryasza, gazety czyta — zawsze powtarzam, że już wolę brata; naprzód młodszy i przecie na nim znać więcej Paryż i Lunewil. Ale... zapominam o Michale Chronowskim; ceremonia wyzwolenia jego odbyła się po obiedzie i ubawiła mnie bardzo. Wszyscy goście zebrali się na sali i zasiedli. Jmć dobrodziej zajął nieco wyższe krzesło w środku, otworzyły się podwoje, marszałek, dworskich kilku, wprowadzili wyzwoleńca już nie w barwianych, ale w paradnych sukniach, ukląkł

przed Jmć dobrodziejem, ten go uderzył zlekka w twarz, żeby pamiętał łaskę jego, przypasał mu szablę do boku, wypił do niego spory kielich wina i ofiarował konia z siedzeniem i drugiego z masztalerzem, którzy już w tę chwilę czekali przed zamkiem na nowego pana; zapytał go się potem, czy chce pozostać u naszego dworu, czyli też woli iść w świat? Chronowski odpowiedział, że lubo mu bardzo tu dobrze, przecież życzyłby sobie szukać promocyi i żądał rekomendacyi do księcia Lubomirskiego, wojewody lubelskiego, szwagra Jmć dobrodzieja; przyobiecał ją, a wsunąwszy mu w rękę 20 czerwonych złotych, prosił, ażeby w zamku Maleszowskim do końca zapustów gościć raczył; przyjął Chronowski te zaprosiny z wielką radością, a skłoniwszy się do nóg obojgu państwu i wszystkie przytomne damy pocałowawszy w rękę, przypuszczonym został do naszej kompanii i w wieczór dzielnie z Basią mazura i krakowiaka wywijał. Przyznać mu trzeba, że nikt tak gładko i ochoczo nie tańcuje, jak on; Basia także dziwnie w tańcu szykowna i pięknie im było razem.

Dnia 8 stycznia, w poniedziałek.

Już też rzecz niepodobna, żeby komu wróżba migdała prędzej się ziściła. Basia tych zapust jeszcze pójdzie za mąż, i za kogo? za Michała, bo panu staroście Swidzińskiemu Michał na imię, a on wczoraj wieczór Jmć dobrodzieja o jej rękę prosił. Przysłali po nią państwo dziś rano przed śniadaniem, oświadczyli jej tę jego prośbę i zaręczyny odprawią się jutro. Basia zapłakana wróciła do nas, powiedziała

nam, po co ją wołał pokojowiec; mówiła mi, że się boi iść zamąż, że jej żal będzie domu rodzicielskiego, ale że niepodobna tej partyi omijać, kiedy ją oboje państwo zapewniają, że będzie bardzo z panem starostą szczęśliwą. Ma być człowiek pobożny, uczciwy i łagodny, familia jego szlachecka, dawna, majętna; pod Chocimem, pod buławą sławnego Chodkiewicza, trzej bracia Swidzińscy, Aleksander, Michał i Antoni polegli; majątęk piękny, już ma wypuszczone od rodziców dobra Sulgostów ze wspaniałym pałacem, a prócz tego król mu dał niezłe starostwo i czekać tylko rychło kasztelanię dostanie. Pan wojewoda i ksiądz Wojciech jedynie tu po to przyjechali, już oddawna ten projekt mieli i bardzo sobie gorąco życzą, żeby doszedł do skutku. Panu wojewodzie niezmiernie miała Basia do serca przypaść; jak ją pozna, pokocha ją jeszcze lepiej. Będziemy więc mieli wesele; o! cieszę się niesłychanie, odprawi się w Maleszowskim zamku 25 lutego w same Ostatki, będziemyż tańcować!... Basia zostanie panią starościną, to jedyna szkoda, że już jej nie będzie wolno Basią nazywać. Żal mi teraz tego, com o panu staroście w tym dzienniku napisała — ale cóż? nie jest ci to nic tak bardzo złego. Wreszcie, kiedy się Basi podoba, to i dosyć, ona mówi, że się zawsze młodych bała, że lubi takich poważnych mężczyzn, i Jmć dobrodziejka powiedziała, że tacy najlepszymi bywają mężami. Może być, ale ja jednak wesołych i fertycznych wolę; każdemu swój gust mieć wolno... Ale, ale... dziś też niezawodnie odprawi się w Warszawie inwestytura królewicza Karola na księstwo Kurlandzkie, już wyzdrowiał; pan pułkownik Swi-

dziński zna go zblizka, odchwalić się nie może jego przyjemności; pan wojewoda i starszy syn jego nie są jednak za tem, żeby on był po ojcu królem polskim; mówią, że rodak lepszy.

Dnia 10 stycznia 1750, we środę.

Już więc po zaręczynach, odprawiły się wczoraj. Do obiadu wszystko było jak zwyczajnie, Basi tylko, gdyśmy na pokoje się zeszli, Jmć dobrodziejka dała do zwinięcia motek splątanego jedwabiu. Basia wzięła się do tej roboty; cała w płomieniach, oczów na nikogo podnieść nie śmiała; tembardziej, że oczy wszystkich, a szczególniej pana starosty na nią zwrócone były. Wolała więc patrzeć jedynie w swój jedwab' i w ziemię, a do tego niegodziwy *Macieńko* sprzeciwiał jej się niesłychanie, żarciki sobie z niej stroił, z których wszyscy śmieli się serdecznie, ja tych żarcików po większej części nie rozumiałam, ale jednak śmiałam się może więcej od wszystkich Po obiedzie Basia usiadła przed zwijadełkiem w oknie, pan starosta zbliżył się do niej i powiedział dosyć głośno: „Czyż prawda, że waćpanna dobrodziejka nie sprzeciwiasz się szczęściu mojemu?“—„Wola najukochańszych rodziców była zawsze dla mnie najświętszem prawem“ — odpowiedziała Basia cichym i drżącym głosem i skończyła się narzeczonych rozmowa. Gdy się liberya i dworscy rozeszli i zostaliśmy sami z gośćmi, pan wojewoda z księdzem Wincentym powstał z miejsca swego, wziął za rękę pana starostę, stanął z nim przed państwem, którzy właśnie razem na jednej kanapie siedzieli, i tak po-

wiedział: „Oddawna serce moje najszczerszym affektem, najgłębszem uszanowaniem ku przezacnemu domowi Korwinów Krasińskich jest przejęte; oddawna życzę sobie gorąco, ażeby skromny mój *Półkozic* [1]) uświetnił się ich zacnym *Ślepowronem* i niewymowną jest dla mnie satysfakcya, iż przecudowna łaska Jwwc. państwa dobrodziejstwa tej konsolacyi dziś zakosztować mi pozwala. Macie przezacną córę, Barbarę, ja mam syna Michała, który jest chlubą i pociechą moją, raczyliście się juz przychylić do połączenia dozgonnie tej młodej pary, raczcie dziś potwierdzić tę obietnicę. Oto pierścień, który przed laty od rodziców, dla zmarłej już niestety! lecz żyjącej jeszcze w sercu mojem oblubienicy w podobnymże razie dostałem, pozwólcie, aby go syn mój na zadatek ściślejszego związku córze waszej ofiarował.“ To mówiąc, dobył kosztownego pierścienia z brylantami i złożył go na tacy, którą trzymał ksiądz Wincenty, ten przemówił także do państwa, ale że wiele przymieszał łaciny, nie zrozumiawszy, nie mogłam słów jego spamiętać. Jmć. dobrodziej zaś tak obudwom odpowiedział: „Com onegdaj wyrzekł, to i w tej chwili powtarzam: przeciwko dozgonnemu związkowi córki mojej z zacnym starostą nic nie mam, daję mu ją chętnie z życzliwem błogosławieństwem i całe moje prawo ojcowskie nad nią zlewam na niego.“ — „I ja toż samo z serca czynię, dodała Jmć. dobrodziejka, oto pierścień, klejnot w domu moim najdroższy, bo go ojciec moj Stefan Humiecki, wojewoda podolski z rąk ś. p. Augusta II dostał, kie-

---

[1]) Herb Świdzińskich.

dy do skutku pakta karłowieckie doprowadził i Kamieniec Podolski ostatnio Turkom odebrał. Tym pierścieniem ja zaręczoną zostałam, ten pierścień najstarszej córce mojej daję z macierzyńskim affektem i ze szczerą prośbą do Wszechmocnego Boga, ażeby jej szczęście podobne mojemu przyniósł." I położyła na tacy pierścień z ogromnym dyamentem, pod spodem którego jest miniatura nieboszczyka króla.— „Basiu! chodź tu Wasze!" zawołał wtenczas Jmć dobrodziej; wstała, poszła, ale nie wiem, jak mogła przejść pokój, tak była zmieszana, tak się chwiała, że idąc ledwie nie upadła. Ksiądz Wincenty wyrzekł nad pierścionkami łacińskie błogosławieństwo, dał pierścień z brylantami panu staroście, który go na mały palec u lewej ręki, *serdecznym* zwany, siostrze mojej włożył, pocałowawszy ją pierwej w tąż rękę, a Basi dał pierścień z portretem, mówiąc, żeby go panu staroście oddała, na sam koniuszczek palca go włożyła, ale pan starosta skoro go odebrał, raz ją jeszcze pocałował w rękę, potem upadł do nóg państwa, dziękował im, świadczył się Bogiem, że będzie się starał córkę ich uszczęśliwić. Tymczasem pan wojewoda całował drżącą Basię i pan pułkownik i ksiądz Wincenty śliczne jej komplimenta prawili. Jmć dobrodziej wziął wielki puchar, nalał go starym węgrzynem, wniósł zdrowie oblubieńców i wszyscy spełnili go kolejno. — Tak to wszystko było uroczyste i tkliwe, że mnie, patrzącej zdaleka, cały czas łzy się z oczów toczyły. „Nie płacz, Franulku — powiedział Macieńko (który był cały czas w pokoju, ale przecie milczał), nie płacz i z imościanką tak najdalej za rok będzie!" — Za rok, to jeszcze

za prędko; ale za parę lat, to się i nie rozgniewam, jak się ze mną tak stanie. Cała rodzina Świdzińskich niepojęcie dla Basi uprzejma i grzeczna, państwo oboje pocałowali ją wczoraj w twarz, jak im dobrej nocy życzyła, w całym domu wszyscy dla niej od dnia wczorajszego mają jakieś względy, o nikim, tylko o niej mowa, wszyscy jej winszują, wszyscy się jej polecają, każdyby rad, żeby go do swego przyszłego dworu przyjęła. Jmć dobrodziej dobył z sepecika tysiąc dukatów holenderskich, zalecając Jmć dobrodziejce, żeby porządnie i uczciwie opatrzoną córkę z domu wyprawiła. Oboje naradzali się nad wyprawą godzin kilka. Jutro panna Zawistowska, białogłowa bardzo zacna, koło trzydziestu lat mająca, w domu państwa od maleńka wychowana, i która będzie wyprawną panną Basi, pojedzie z komisarzem do Warszawy dla zakupienia potrzebnych rzeczy. W skarbcu naszym stoją już oddawna cztery wielkie kufry srebra dla każdej z nas; kufer, Basi przeznaczony, kazał Jmć dobrodziej otworzyć, przepatrzył sam wszystko i naczynia potrzebujące naprawy lub obchędożenia także do Warszawy pójdą. Pan wojewoda jutro wyjeżdża razem z panem starostą, żeby dom Sulgostowski na przyjęcie Basi urządzić. Jmć dobrodziej już gotuje listy i pokojowców po wszystkich stronach Polski z niemi rozsyła; wszystkim osobom, które pokrewieństwem, przyjaźnią, zażyłością z domem naszym są złączone, donosi o tym wypadku i na wesele zaprasza. Najurodziwszy zaś z dworzanów naszych, koniuszy, suto wyekwipowany, wyjedzie za parę dni z listami do króla i królewiczów, do prymasa i celniejszych senatorów; w nich

Jmć dobrodziej uwiadamia ich o przyszłem postanowieniu córki, prosi o błogosławieństwo temu związkowi, ale wyraźnie nie zaprasza, zostawiając to łasce tak dostojnych osób. Ach! żeby też który z nich przyjechał, naprzykład książe kurlandzki, dopiero uświetniłoby się wesele. Ale najpewniej, że tylko posłów swoich przyślą, którzy w takim razie mają miejsce i honory, jakieby się niemal należały tym, których reprezentują. Jaka to będzie wesołość, jakie uczty; jak już radośnie i huczno w naszym zamku, aż miło! Każdej z nas sióstr śliczne dał upominki pan starosta; jam dostała kosztowną spinkę z turkusami, Zosia krzyż rubinowy, Marysia łańcuszek wenecki, państwu nawet ofiarował podarki i raczyli je przyjąć: Jmć dobrodziejowi puhar bardzo piękny, Jmć dobrodziejce szkatułkę z narzędziami do roboty, wszystko w niej z perłowej macicy w złoto oprawne. O *Madame* nawet nie zapomniał, blondynową salopkę dziś rano na łóżku swojem znalazła, wysławia też hojność polską, to jest jedna rzecz, którą w narodzie naszym chwali. Choć to nasza *Madame*, i z innych miar bardzo ją szanuję, przecież za tę pogardę Polaków nie lubię jej. Wczoraj była paradna wieczerza, kapela grała prześlicznie, spijano za zdrowie przyszłej pary, dragonia nasza strzelała, a rotmistrz dał za hasło rocie swojej *Michał i Barbara.* Już i Basia trochę śmielsza, wstydzi się jeszcze swego pierścionka, kryje go jak może, a każdy go widzi, bo dyamenty jak gwiazdy jaśnieją. Dziś rano wszyscy na szczęście Basi pojechali na polowanie. Mówią, że dawniej był taki zwyczaj, że panna w takim razie koniecznie strzelcom nóżkę swoją pokazać musiała, ale ten zwy-

czaj nie kromny ustał, chwała Bogu. Basia spiekłaby się od wstydu, a ten Macieńko taki pocieszny, że koniecznie się tego domagał i mówił, iż skoro ta formalność niedopełniona, polowanie się nie powiedzie, bo niema szczęścia. Nie zgadł jednak, tak było pomyślne, jak rzadko kiedy; zabito dzika, dwie sarny, jednego rogacza, zajęcy mnóstwo; sam pan starosta dzika zabił i tę zdobycz u nóg Basi złożył. O! przekonałam się, że z pana starosty zuch wielki. Wyprowadzić kazał Jmć dobrodziej dla myśliwych wszystkie konie ze swojej stajni w sute rzędy przybrane; był między niemi jeden śliczny, ale prawie zupełnie dziki, koniuszy na nim jeździć nie śmie, bo wszystkich zrzuca, pan starosta powiedział, że go przekona, jakoż wsiadł, pomimo przedstawień przytomnych osób i tak go dzielnie ujął, że wśród skoków, pierzchań, wybryków jego, trzy razy w około bez najmniejszego szwanku zamek Maleszowski objechał. Pięknie było na to patrzeć. Basia trochę zbladła, jak wsiadał na tego dzikiego konia; ale gdy zobaczyła, że tak nim kierować umie, gdy zaczęły się rozlegać przytomnych oklaski, żywy rumieniec twarz jej okrył, tem żywszy, że wszyscy prawie na nią spojrzeli. Od tego czynu pozyskał zupełnie moje łaski pan starosta. Kto tak mocno siedzi na koniu i taki śmiały, temu już wybaczyć można, choć menueta i kontredansa tańczyć nie lubi. Jmć dobrodziej darował przyszłemu zięciowi tego konia z bogatym rzędem i masztalerzem. Zasłużył sobie na ten podarek.

Dnia 20 stycznia, w niedzielę.

Więcej niż tydzień nie pisałem dziennika mego, bośmy wszyscy bardzo zajęci. Gości moc niezmierna, z nimi więc poobiedzia i wieczory schodzą, a poranki oddane robocie. Zarzucone zupełnie nauki, nomenklator, gramatyka francuska, sama nawet pani de Beaumont leży w kącie; każda z nas trzech sióstr chce koniecznie Basi podarkiem własnej pracy do wyprawy się przysłużyć. Ja jej haftuję dezabilkę linową z falbanami w robotki; wstaję też rano i przy świecy pracuję, żeby koniecznie na czas wykończyć; Marysia wyszywa rańtuch bardzo ładny, na izabelowym muślinie, będzie arabesk złotem i ciemnemi jedwabiami; Zosia haftuje szydełkiem przykrycie do gotowalni. Jmć dobrodziejka od samego rana otwiera sepety, kufry i szafy, dobywa z nich płócien, materyj i futer, makat, kotar, kobierców; wiele ma rzeczy pozostałych z własnej wyprawy, wiele także po zamęźciu nabytych, bo już od lat kilkunastu zbiera na wyprawy nasze pięknośći rozliczne. Prawdziwie jest czemu się przypatrzyć! A co mnie najmocniej zajmuje, kiedy mnie Jmć dobrodziejka do pomocy wezwać raczy, to jej baczność, ażeby żadnej z nas na włos nie ukrzywdzić; wszystkie te bogactwa na cztery części dzieli i nieraz aż Jmć dobrodzieja i księdza kapelaną prosi, żeby dali zdanie swoje, czy wszystkie części równe, czy nie; krawca i kuśnierza państwo sprowadzili z Warszawy i ci tyle mają roboty, że ledwie za miesiąc wszystko wykończą. Wielkie szczęście, iż bielizna prawie cała już uszyta,

przez dwa lata panny dworskie ją szyły; teraz ją znaczą niebieską bawełną w oczka, spodziewam się, że się wprawią w litery B. K. Bardzo piękna będzie wyprawa. Basia nie pojmuje, co z tylu sukniami pocznie, bo dotąd wszystkie mamy po cztery pary, dwie sycowe ciemne na codzień, i czarne do nich mantynowe fartuchy, jedną białą kartonową od niedzieli, drugą linową od większych świąt i uroczystości, i bardzo nam dosyć, ale Jmć dobrodziejka jej mówi: że pani starościna piękniej powinna się ubierać od Basi i że co dla panny wyborne, dla mężatki już nie przystoi. Basi kazała Jmć dobrodziejka z owego jedwabiu starganego sakiewkę dla pana starosty zrobić, jest nią zupełnie zajęta, bo pięknieby ją wydać rada. Z taką cierpliwością ten jedwab' zwinęła, że chociaż zielony, nic koloru nie zmienił i ani razu nie urwany. Śmiało może iść za mąż, sam Macieńko jej to przyznaje. Pokojowcy i koniuszy z listami już pojechali; bardzom ciekawa odpowiedzi. Basia truchleje, żeby który z królewiczów nie przyjechał, a jabym tak rada! Ale inwestytura królewicza Karola na księstwo Kurlandzkie odprawiła się ósmego bieżącego miesiąca uroczyście. W wigilię dnia tego nasz pociot, książę Lubomirski, wojewoda lubelski, marszałek królewicza, dawał suty bal, gale, festyny, obiady, trwały więcej niż tydzień. Nowy książę kurlandzki miał jedną mowę po polsku, czem wszystkich przytomnych niewypowiedzianie uradował. Już teraz zupełnie jest uważany jako książę udzielny i z wielką przyzwoitością miał odegrać tę całą rolę. Jest w „Kuryerze Polskim“ obszerny dyaryusz tej inwestytury; gdyby czas był po temu, prze-

pisałabym go tutaj, bo mnie bardzo zajął. Prawdę mówiąc, wolałabym jeszcze być świadkiem tego wszystkiego, bo dwa razy lepiej widzieć rzecz jaką, aniżeli czytać o niej. Ale kiedy to być nie może, rada jestem przynajmniej, że się już ta inwestytura odbyła. Prócz tej dobrej wiadomości, niema żadnej i żal serce mi ściska, kiedy nagląc z moją dezabilką, slucham jak kapelan gazety czyta.

Zewsząd ubliżają powadze Rzeczypospolitej; sąsiedzi pod różnemi pozorami wkraczają z wojskiem do Polski, rabują, pustoszą, krzywdzą! Lecz co tam o tem myśleć i trapić się, lepiej jak Jmć dobrodziej mówi używać obecnych momentów, cieszyć się, radować póki pora służy. Bo i prawda! prawią pokątnie o jakichciś nieszczęściach, biedach, a tymczasem Polska cała w ucztach, festynach, biesiadach... Może też oni wszyscy tak robią jak nasz Macieńko; on kiedy ma jakie zmartwienie, to kieliszka z ręki nie wypuści: powtarzając: *dobry trunek na frasunek*, i im więcej strapiony, tem więcej pije.

Dnia 25 stycznia, w piątek.

Pan starosta wczoraj w wieczór przyjechał, dwa duże srebrne kosze cukrów i pomarańcz Basia dziś z rana na swoim stoliku od roboty zastała, wszystkie te specyały rozdzieliła między nas, panny dworskie i służebne; robota też piorunem idzie i moja dezabilka prawie przez połowę gotowa. Z własnego gospodarstwa będzie miała Basia pościel; już bardzo dawno, jak każda z nas, ma swoje gęsi, a nawet łabę

dzie; mamy też w garderobie biedną głupowatą Marynę, która nic innego robić nie umie, tylko pierze drzeć; każda z nas ma osobną beczkę na pierze, osobny worek na puch i tyle się każdej uzbierało, że Basia będzie miała dwa napchane piernaty, ośm dużych puchowych z gęsi poduszek, a dwie małe z łabędziego puchu; nasypki będą z gęstego płócienka domowej roboty, poszewki z karmazynowej mantyny, a powłoczki z cienkiego holenderskiego płótna z falbanami. Te falbany panny teraz właśnie obrzucają szydełkiem.

Dnia 2 lutego, w sobotę.

Pan starosta bawił blizko tydzień i pojechał; jak powróci, to już nie odjedzie sam, tylko z Basią. Zdaje mi się rzeczą niepodobną, żeby ona sama z mężczyzną nas odjechała, wierzyć mi się temu nie chce; ale jak zobaczę, to będę musiała uwierzyć. Basi szacunek i przyjaźń dla pana starosty co dzień większy, co dzień jej się lepiej podoba, chociaż kiedy tu jest, bynajmniej z nią nie mówi, tylko z państwem cała rozmowa; im wszystkie swoje atencye okazuje, wszystkie afekta wynurza. Jak mówią, zawsze tak w każdej uczciwej konkurencyi się dzieje, bo jakiż lepszy sposób pozyskania serca córki, jak podobać się jej rodzicom? Za trzy tygodnie wesele; i ja i wszystkie siostry będziemy miały nowe suknie. Basia nam je sprawia i wszystkim pannom dworskim. Już z gości zaproszonych wielu odpisało, że przybędą; ale król i królewicz posłów tylko przyślą, z wielkim moim żalem. Wątpię także, żeby księżna wojewo-

dzina Lubomirska zjechać mogła, bo im nie wypada teraz opuszczać Warszawy; ale bardzo pochwala wraz z mężem zamęźcie Basi, piękny list napisała z błogosławieństwem, z czego Jmć dobrodziej niewymownie był szczęśliwy. Moja dezabilka będzie gotowa na czas, lecz fałdów przysiedzieć muszę, ile że Jmć dobrodziejka tak na mnie łaskawa, że mnie często do swojej pomocy i usługi wołać raczy; dotąd Basia jedna, jako najstarsza, tego szczęścia używała, ale teraz państwo chcą, żebym ja się wprawiała i umiała potem ją zastąpić. Już dwa razy miałam sobie powierzony klucz od apteczki; zdaje mi się też od tego czasu, żem spoważniała i że mi przynajmniej z rok przybył. O! muszę się pilnie przyglądać temu wszystkiemu, co Basia dla państwa robi, jakie usługi im czyni, żeby, jak ją nam pan starosta zabierze, nie tyle jej stratę uczuli. O to tylko idzie, czy im tak potrafię dogodzić, jak ona.

Dnia 12 lutego, we wtorek.

W Warszawie, z powodu zapust, a szczególniej z powodu szczęśliwie doszłej inwestytury królewicza, uczt, balów, zabaw bez liku; pełne gazety opisów tych uroczystości. Do nas też niepomału zjeżdżają się goście i nielada jakie robią na wesele przygotowania. Już prawie wszystkie pokoje gościnne zajęte, albo przeznaczenie swe mają; folwark, probostwo, lepsze chałupy nawet użyte będą, jak się więcej zjedzie; kucharze i cukiernicy już zaczynają przyrządzać różne na te dnie specyały; wielkie pranie w domu, ogród, podwórza zasute sznurami z bielizną.

Praczki wróżą Basi wielkie w małżeństwie szczęście i wielką miłość przyszłego męża, bo jak tylko prać zaczęto, z czasu mglistego zrobił się najpiękniejszy, mroźny, ale jasny, suchy i jej bielizna będzie taka biała jak śnieg, który w tej chwili wszystko pokrywa. Już niemal cała wyprawa skończona, dziś właśnie Jmć dobrodziejka wysłała do Sulgostowa łóżka, kufer jeden srebra i dwa ogromne kufry z pościelą, z makatami, kobiercami i t. p. rzeczami. Łóżka będą bardzo piękne, żelazne, firanki do nich, kołdry i podniebienie adamaszkowe niebieskie, a na czterech rogach pęki piór strusich białych i niebieskich. Basia prawie co chwila ma za co całować ręce i nogi państwa, tak ją obdarzają. Jmć dobrodziej własną ręką w wielkiej księdze całą wyprawę spisuje; na początku są te słowa: „Spis wyprawy, którą ja, Stanisław z Korwinów Krasiński etc. etc. i Aniela z Humieckich, małżonkowie, dajemy najstarszej i najukochańszej córce naszej, Barbarze, oddając ją w dożywotni związek JW. Michałowi Świdzińskiemu, staroście radomskiemu, i wzywamy dla tej najukochańszej córki naszej błogosławieństwa Niebios, i błogosławimy ją sami rodzicielskim afektem w Imię Trójcy Przenajświętszej, w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego, Amen.“ Wypisałabym tu chętnie cały ten spis, ale naprzód nie mam czasu; powtóre, sama kiedyś podobnej spodziewając się wyprawy, spis taki, a co lepsza, takie błogosławieństwo otrzymam.

Dnia 20 lutego, we środę.

Już za pięć dni wesele, a pan starosta przyjechał wczoraj; zadrżała Basia jak listek, gdy go pokojowiec wprowadził do sali; dziś spodziewamy się pana wojewody, pułkownika, pana Wincentego, pani wojewodziny Granowskiej, siostry pana starosty z mężem. Druga jego siostrą, pani Lanckorońska, kasztelanowa połoniecka, zjechać nie będzie mogła; bawi teraz na Podolu z mężem w dobrach jego w Jagielnicy. Basia bardzo żałuje, że jej nie pozna, bo tyle dobrego wszyscy o niej mówią. W piękną familię Basia wejdzie, sami zacni i pobożni ludzie, a tak dla niej grzeczni i uprzejmi, jak gdyby księżniczką była. Już wyprawa zupełnie ukończona; to, co jeszcze nie poszło do Sulgostowa, ułożone w kufrach, i klucz oddany pannie Zawistowskiej. Bardzo Basi miło, że ją mieć będzie, nawykła patrzeć na nią od dzieciństwa, będzie jej się zdawało, że jakąś cząstkę domu rodzicielskiego w niej zawiezie na nowosiedliny swoje. I wiele innych osób z Maleszowej z sobą zabierze: dwie pokojówki, dwie dziewczynki, córki swoje chrzestne, już edukowane do robót knopfsztychowych; garderobianę i panienkę wcale dobrego urodzenia, dziwnie żwawą i fertyczną; Ludwisię Linowską, która od lat kilku jest u nas i Basię kocha nad życie. I więcej się tu kobiet przyszłej pani starościnie zaleca; gdyby tylko państwo pozwolili, mogłaby ich mieć ze dwanaście. Jak ja kiedy będę szła za mąż, to muszę wziąć jeszcze więcej; już trzem dziewczętom uroczyście przyrzekłam, że je we-

znię; jedna z nich jest córką naszego Jacentego, który mi za to przyrzeczenie do nóg się skłonił i pierwszy raz w życiu rozmarszczyło mu się czoło.

Dnia 24 lutego, w niedzielę.

Jutro ślub Basi, gości nazjeżdżało się co niemiara, już są wszyscy posłowie; posłem króla jest minister Borch, księcia kurlandzkiego, kasztelanic Kochanowski, zausznik jego, bardzo przystojny i grzeczny kawaler, prawdziwie *jaki pan, taki kram*, że innych pominę. Wszyscy jakby słowo sobie dali, przyjechali wczoraj, wjazd ich był prawdziwie wspaniały. Państwo, uprzedzeni będąc o dniu i o godzinie, wszystko kazali mieć w przyzwoitym porządku; oni jeszcze, zbliżając się do zamku, dawali znać o sobie; przed każdym występowała nasza dragonia, bito z armat i z ręcznej broni, muzyka brzmiała; najwięcej odebrał jednak poseł królewski; Jmć dobrodziej z odkrytą głową czekał go na moście, a skoro wstąpił, zebrani goście, dworzanie, dworscy, liberya, w szereg ustawieni do samych drzwi wchodowych, krzyknęli *Wiwat*! i skłonili się do ziemi. Dziś, w przytomności wszystkich przed wybranymi na to świadkami, pisana była intercyza, czyli kontrakt ślubny; co zawiera, nie wiem, bo nic jej nie zrozumiałam; wiem tylko, że nasza panna młoda prześliczne dostała podarunki: od pana starosty trzy sznurki pereł uryańskich, zausznice modne dyamentowe i różyczki takież z uszkami u spodu do nawlekania; od pana wojewody krzyż dyamentowy suty i egretkę na głowę z trzęsidłami dyamentowemi; od pana pułkownika ze-

garek paryzki z emalią i z łańcuszkiem białogłowskim; od księcia Wincentego różne relikwie, od każdego z krewnych upominek; zarzucona jest niemi, ani śmie wierzyć, że tyle bogactw do niej należy. Jedynym jej kanakiem dotąd (prócz pierścienia, którym zaręczona) był pierścionek z Matką Boską i dla tych przecież nowych i pysznych klejnotów starego przyjaciela Basia nie porzuci. Dłużej pisać nie mogę, właśnie mi pokojówka dezabilkę wypraną i uprasowaną przyniosła, prześliczna; trzydzieści jest w niej gatunków kratek i robótek, muszę wykostkować sama niektóre, a potem zaniosę pannie Zawistowskiej, żeby ją pannie młodej na jutro rano nagotowała! Już widzę, jak jej ślicznie w niej będzie.

Dnia 26 lutego, w ostatni wtorek.

Otóż już panny Barbary na sto koni nie dogoni, jak mówi Macieńko; już panią starościną. O! śliczneż to uroczysta i tkliwa rzecz, takie wesele! a co wesołości, zabawy, tańców! ale wszystko muszę opisać porządnie. Wczoraj raniuteńko pojechaliśmy wszyscy do kościoła do Lisowa, państwo młodzi spowiadali się i do Komunii przystąpili; przez całą Mszę śpiewaną klęczeli razem przed wielkim ołtarzem, a po Mszy świętej nasz proboszcz dał im błogosławieństwo. Panna młoda była w mojej dezabilce, w której zgadłam, że jej prześlicznie, szkoda tylko, iż dla zimna musiała wziąć na wierzch salopę białą, grodeturową, z lisami białemi, i trochę się pogniotła; na głowie miała piękną fryzurę, a na wierzchu długi welon koronkowy. Wróciwszy do zamku, po sutem

śniadaniu przystąpiono do ubioru panny młodej. Dwanaście pań poważnych ją ubierało, a Jmć dobrodziejka na czele. Miała suknię przepyszną z materyi białej w szerokie pasy atłasowe i morowe z wielkim ogonem, a u dołu falbana z koronki brabanckiej z kampanką srebrną, na przodzie bukiet z rozmarynu, a na samym środku głowy wianeczek takiż na łubku złotym, na którym wierszami życzenia dla Basi, dzień i rok ślubu. Bardzo jej było do twarzy. Klejnotów żadnych Jmć dobrodziejka wziąć nie pozwoliła, bo kto się w nie do ślubu stroi, kwaterką łez potem każdy odpłakać musi. Basia i tak dosyć płakała, aż jej oczy zapuchły. Nim jej Jmć dobrodziejka wianek przypięła, starym obyczajem, włożyła w środek dukat z roku urodzenia się Basi, chleba kawałek i soli bryłkę, ażeby jej nigdy na tych potrzebnych rzeczach w tym nowym stanie nie zbywało, a chcąc przykrości małżeństwa (które mają być bardzo wielkie) zawczasu córce osłodzić, przydała i cukru kawałek. Trochę pierwej przed Basią my druchny zeszłyśmy na dół; dwanaście nas było, wszystkie w bieli przy bukietach i w kwiatach na głowie; a najstarsza z nas lat ośmnaście niedawno skończyła. U drzwi bawialnej sali czekały nas dziewosłęby, czyli swaty, ksiądz Wincenty i pan pułkownik. W sali zastaliśmy już pana młodego z dwunastu drużbami i całą kompanią. Niesiono za nami tacę ogromną, bukietami przepełnioną, każdy z nich rozmaryn, mirt, cytrynowe, pomarańczowe gałązki i barwinek w sobie mieścił, każdy białą wstążką był związany. Te bukiety przeznaczone były dla młodych kawalerów i panien obecnych na weselu, a każda

z nas druchen uzbrojona byla w pewną liczbę iglic szczerozłotych, pozłacanych, srebrnych, aby niemi podług dostojeństwa osób te godła weselne przypinać. Jmć dobrodziejka i poważne panie uczyły nas długo, jaki porządek w tej posłudze zachować należy, żeby komu nie uchybić, a dając mniej znakomitemu pierwszeństwo, nie stać się powodem do urazy, o którą w wielkiem zgromadzeniu tak łatwo. Zdawało nam się, żeśmy te nauki dobrze pojęły, ale wszedłszy do sali, zapomniało się wszystkiego, przypinałyśmy bukiety poważnie z początku, z uśmiechem później, z pustotą nareszcie; nie obeszło się bez tysiąca uchybień, ale je wszystkie przebaczono, bo już dawno to uważam, że na młode, a zwłaszcza ładne panny nikt nie ma serca się gniewać. Nasza wesołość tak wszystkich ogarnęła, iż i żonaci i sędziwi mężowie i młode mężatki, i poważne białogłowy, którzy żadnego prawa do bukietów w takim razie nie mają, dopominać się ich zaczęli, jakże było im odmówić! kto się nadarzył, bukiet dostał; znikł więc wnet ów stos z tacy, za nim drugi i trzeci z gotowalni przyniesiono, zabrakło igliczek, choć tyle ich przygotowano; trzeba było prostemi szpilkami przypinać, ale i te z rąk naszych mile przyjmowane były. Nareszcie dogodziło się wszystkim, każdy był kontent, każdy przy bukiecie; sala ogrodem się być zdawała, radość była powszechna, prawdziwe wesele. Ale mijam się z prawdą; nie wszyscy byli weseli, Macieńko stał w kącie smutny; chociaż kawaler, bukietu nie dostał i tak wyglądał, jak gdyby nie należał do godów. Przyszłam do niego, a on mi powiedział do ucha po cichu i z serdecznym żalem: „Że inne druchny o mnie

zapomniały, nie dziwię się, ale panna Franciszka, którą na ręku nosiłem, którą od tylu lat bawię i rozśmieszam... nie będę też na jej weselu, choćby za królewicza iść miała.“ Zapłonęłam się na te słowa, miło i przykro mi się zrobiło, pobiegłam sama do garderoby, ale jak na nieszczęście, już i jednego bukietu nie było; Jmć dobrodziejka posłyszawszy o tem, co się działo w sali, sobie i poważnym paniom, asystującym ubiorowi panny młodej, resztę kwiatów poprzypinała, do ogrodnika daleko posyłać, a chciałabym koniecznie, żeby Macieńko miał bukiet; o pewno! nie za płochą jego wróżbę; jam nie Radziwiłłówna i teraz nie te wieki, kiedy królowie pojmowali cnotliwe Polki i z niemi byli szczęśliwi... Przyszła mi myśl przedziwna; porwawszy kawałek białej wstążki i szpilkę, wróciłam z pośpiechem do sali, odpięłam własny bukiet, podzieliłam się nim z Macieńkiem, przypięłam mu go złotą iglicą, sobie prostą zachowując szpilkę; uradowany, zawołał: „Franusiu, nie dosyć, żeś piękną, zawsześ dobra. Ja czasem bywam prorokiem; oby się spełniły i wróżby i życzenia moje!... Co bądź to bądź, schowam ten bukiet do twego wesela, i kto wie, czem będziesz, gdy ci go oddam“... Dziwna rzecz! te jego słowa, pomimo tylu roztargnień, brzmią jeszcze w uszach moich, i kiedy tylko o Basi pisać powinnam, o sobie prawię... Czas wrócić do niej. Otóż już wszyscy przy bukietach, oczy mają na drzwi wchodowe zwrócone; otwierają się podwoje, wchodzi zapłakana Basia, nieśmiała, wspierana, otoczona od pań poważnych, a pierś jej okazuje swem poruszeniem tłumione łkania; przystępuje do niej bolejący na jej cierpienia pan młody, bierze jej rękę, z nią razem

ojcu i matce czołobitność oddaje, o błogosławieństwo prosi i od rozrzewnionych odbiera; udają się potem do nas, do krewnych, obchodzą wszystkich gości, domowych, i nie było nikogo, ktoby nie błogosławił szczerze i łez w oczach nie miał. Wtem otworzono kaplicę. Ksiądz Wincenty włożył koronkową komeżkę i bogatą stułę, stanął przed ołtarzem i wezwał nas. Minister Borch, jako poseł króla, lubo żonaty, a zatem nie drużba, i pan kasztelanic Kochanowski, wzięli pannę młodą pod ręce; mnie i wojewodziance Małachowskiej, starszym druchnom, kazano poprowadzić pana młodego. Państwo, obie rodziny, reszta gości szli za nami, trzymając się w pary; głębokie nastało milczenie; słychać było każdy krok, każdy chrzęst materyalnych sukien, szelest nawet piór i bogatych trzęsideł, które panie miały u fryzur swoich. Doszliśmy do ołtarza, gorzał od mnóstwa świec jarzących, a wszystkie paliły się wybornie; złotolitym kobiercem okryte były stopnie, na najwyższym leżały dwie aksamitne ponsowe poduszki, na jednej herb Krasińskich, na drugiej herb Świdzińskich były złotem wyszyte. Państwo młodzi uklękli, my druchny stanęłyśmy po prawej, drużbowie po lewej stronie ołtarza; jam trzymała na tacy złotej dwie ślubne obrączki; państwo stali za panną młoda, pan wojewoda za panem starostą. Zagrano *Veni Creator*, poczem ksiądz Wincenty miał długą przemowę, prawie całą po łacinie; po niej zaczął ślub dawać; Basia, chociaż zapłakana, dosyć wyraźnie mówiła: „*Ja, Barbara, biorę sobie ciebie* i t. d., ale pan starosta nierównie wyraźniej. Po ślubie i po włożeniu obrączek państwo młodzi padli do nóg naprzód państwu, potem

panu wojewodzie i od wszystkich trojga błogosławieństwo otrzymali; wtedy marszałek dał znak, kapela na chórze i śpiewacy włoscy, umyślnie sprowadzeni, zagrali i zaśpiewali marsz tryumfalny, a dragonia nasza dała suto ognia z armat i z ręcznej broni. Gdy się to uspokoiło i właśnie młoda para przed państwem stała, Jmć dobrodziej, jak zwykle w takiem zdarzeniu się dzieje, przemówił w te słowa: „To powołanie, które już Kościół Boży ratyfikował i pobłogosławił, niechże Panu, rządzącemu Nieba obrotami i tym świata padołem, wieczną chwałę przyniesie! Już tedy Bóg życzenia i afekta wasze uświęcił Sakramentem, utwierdził zobopólną przysięgą. Niechże ich skutki chwałę mu przyniosą. To staranie do was obojga należy, szczególniej też do JWCMMCPana. MCPanie młody, który od tej chwili nietylko małżonkiem, lecz ojcem, przewodnikiem małżonce twej będziesz; znając cnoty i przymioty JWWCPana, nie wątpię, że temu zadosyć uczynić potrafisz i zupełnie spokojny jestem. A co zaś twoich obowiązków się tycze, córko najukochańsza, oto naprzód miej wdzięczność ku Jmć matce twojej, za edukacyę tobie daną, troskliwość od najpierwszych lat aż dotąd około zdrowia i potrzeb twoich, niech ci równem będzie ukontentowaniem moment, kiedy cię ogłosi wyborną Antygoną, jak ten, który cię przecudowną Eponiną nazwie. Bądź cnotliwa; cnota jest to skarb nieprzebrany, przyjaciel prawdziwy, ciężar niefatygujący, droga niebłądząca, sława nigdy nieustająca. Staraj się, ażebyś w słowach ostrożność i roztropność, w uczynkach skromność i powolność, a we wszystkiem rzetelność zachowała. Na ostatek chwal Bo-

ga, kochaj i słuchaj męża, jakeś dotąd względem rodziców czyniła, nienawidź przywary, miej władzę nad sobą, bądź stałą w przeciwnościach, sprzeciwiaj się pokusom świata.

„I niechaj cię rozsądek, miłość, wiara wsławi,
A jako teraz Ojciec, niech Bóg błogosławi."

Na te ostatnie wyrazy Basia, ciągle płacząca, głośno jęknęła i raz jeszcze do nóg państwa upadła; chciała coś mówić, zapewne o tem, że będzie się starała wypełnić żądania najukochańszego ojca, ale jednego słowa dla wielkiego płaczu z ust dobyć nie mogła. Potem nastąpiły wzajemne uściskania, ukłony, winszowania; ksiądz Wincenty pokropił nas wszystkich święconą wodą i dał patynę do pocałowania; chybił w tem tylko, że podał ją pierwej stolnikowej Jordanowej niźli pani kasztelanowej Kochanowskiej, matce posła królewicza; Jmć dobrodziejka to postrzegłszy, prosiła ją za to, żeby z panią wojewodziną Granowską pana młodego odprowadziła; jakoż tak się stało i wszelkich uniknęło się niesmaków; pannę młodą wziął poseł królewski i wojewoda Małachowski i wróciliśmy do bawialnej sali. Wkrótce dano znać do stołu. Stół był ogromny, w literę B ustawiony, zastawa wspaniała. W środku stała dwutygodniowej inwencyi i pracy naszego cukiernika Francuza, wysoka na dwa łokcie piramida, wystawiająca świątynię Hymenu, z rozmaitemi ozdobami i figurkami; były herby Krasińskich i Świdzińskich i różne napisy, w języku francuskim wyrażone. Prócz tej piramidy, stały na stole różne inne ozdoby, kosze srebrne, porcelanowe figurki, aż ciasno było, i nasz ka-

rzełek Piotruś juzby się tego dnia nie był mógł z wygodą przechadzać. Potraw ani podobna zliczyć, gąsiorków i butelek wina nie wiem czy się sam piwniczny dorachuje. Prócz innych, wypili przy tym jednym obiedzie antał wina, *winem panny Barbary* zwanego, to jest wybornego węgrzyna, które Jmć dobrodziej według staropolskiego zwyczaju, roku narodzenia się Basi umyślnie kupił na to, żeby go na jej weselu wypróżniono. Każda z nas ma także takąż beczkę, piwniczny nieraz mi mówił, że jeśli moje jeszcze z parę lat postoi, będzie wyborne. Jmć dobrodziej częstował z niepospolitą ochotą, a goście pili z równąż. A dopiero jak się zaczęły wiwaty, państwa młodych, rzeczypospolitej, króla, księcia kurlandzkiego, królewiczów, prymasa, duchowieństwa, gospodarstwa, dam, a za każdym huczne wykrzyki, tłuczenie kieliszków i butelek, bicie armat, odgłos kapeli, wrzawa jakby na Sądzie ostatecznym. Nareszcie już po rozniesieniu wetów wszystko na chwilę ucichło, i wszyscyśmy myśleli, że czas wstać, kiedy Jmć dobrodziej dał znak marszałkowi; ten postawił przed nim puzdro czarną skórką powleczone z mosiężnemi ozdobami, któregom jeszcze nigdy nie widziała; Jmć dobrodziej otworzył je i wyjął puhar szczerozłoty, kamieniami wysadzany, w kształcie kruka; powiedział, że była to jeszcze po rzymskich Korwinach pamiątka i że nie był z puzdra dobyty od czasu jego własnego wesela; potem, wziąwszy z rąk piwnicznego butelkę kwartową pleśnią okrytą, stuletniem, jak mówił, napełnioną winem, wylał ją całą, dolał jeszcze z drugiej i wniósł wiwat: *pomyślność młodej pary*. Przyjęto go z okrzykiem, kapela

brzmieć zaczęła, uderzono z armat, każdy spełnił to zdrowie duszkiem; pękło butelek kilkadziesiąt i po tym ostatnim wiwacie, kto mógł wstał od stołu. Już była noc zupełna. Damy poszły się przebrać, panna młoda i my druchny zostałyśmy w naszych strojach, koło siódmej godziny, gdy mężczyznom trochę wyszumiało wino, zaczęto mówić o tańcu, wnet się też rozpoczął ochoczo. Panna młoda z posłem króla Jmci bal otworzyła i przez cały czas zawsze w pierwszej tańcowała parze. Z początku były same *Polskie*, menuety, kontredanse, ale potem przy coraz większej ochocie, przy wznowionych kielichach, wzięto się do mazura i do krakowiaka; kasztelanic Kochanowski wybornie krakowiaka tańczy i tak jak zawsze czynić należy, skoro w pierwszej jest parze, śpiewa piosnki w tejże chwili złożone; tak wczoraj, tańcząc z panną młodą, zaśpiewał:

Dziś nie chciałbym być królem, ani wojewodą,
Tylko se starostą z taką panną młodą.

Po długich tańcach, sutej częstacyi, kapela grać ustała; postawiono stołek na środku pokoju, panna młoda usiadła na nim, my, druchny, otoczywszy ją, zaczęłyśmy włosy jej rozpinać i śpiewać żałośnie znaną piosnkę:

Ach! Basiu już cię tracimy i t. d.

Imć dobrodziejka zdjęła jej wianek z głowy, a pani wojewodzina Małachowska czepiec koronkowy na to miejsce włożyła. Zdawało mi się, że na żart tak się przebrała, i gdyby nie to, że nieboga zalewała się łzami, byłabym się śmiała serdecznie; do twa-

rzy jednak Basi w czepku i wszyscy mówili, że mąż ją będzie kochał; o czem ani wątpię, bo któżby takiej dobrej kochać nie miał. Po *oczepinach* dla uczczenia panującego domu, obyczajem przez niego wprowadzonym, kazano pannie młodej tańcować drabanta z posłem króla Jmci, potem z upodobaniem do ojczystych przechodząc zwyczajów, kapela zagrała *Polskiego* bardzo poważnego. Zacząwszy od pana wojewody Świdzińskiego, panna kolejno ze wszystkimi obecnymi mężczyznami tańcowała, aż nareszcie przyszła do Jmć dobrodzieja; ten, przetańczywszy z nią raz, przyprowadził ją do pana starosty i oddał mu ją, nietylko na ten taniec, ale na całe życie; na tym polonezie skończyła się dla nas panien tego dnia zabawa. Jmć dobrodziejka kazała nam pójść spać; poważne panie wzięły pannę młodą, żeby ją zaprowadzić do pokojów dla niej i dla pana młodego przeznaczonych; tam udały się wszystkie mężatki i poważniejsi goście i, jak mi dziś powiadano, tam były jeszcze mowy przy oddawaniu panny młodej, podziękowania w imieniu pana młodego, kielichy kolejne, co późno w noc trwało. Wyborniem też spała po tem zmęczeniu; tańcowałam do upadłego, a prawie mnie nic nogi nie bolą; tańczyłam ze wszystkimi, najwięcej jednak z posłem królewicza, z kasztelanicem Kochanowskim, który wiele rozmawiał ze mną; był w Paryżu i w Lunewilu, dopiero rok, jak z za granicy wrócił, spędził go przy księciu kurlandzkim i bardzo wychwala swego pryncypała. Jeśli jeszcze grzeczniejszy, niż on, to niech go nie znam. Już się cieszę na wieczór, a wcześnie trzeba zacząć tańce; w ostatni wtorek do dwunastej tylko tańcować wol-

no. Basi, a raczej pani starościny (bo tak ją państwo zwać przykazali) jeszczem dziś nie widziała; dziwno mi, że jej z nami niema; odziedziczyłam za to jej łóżko, jej stolik do roboty, wszystkie prawa starszeństwa; już mnie teraz wszyscy panną starościanką zwać będą, a dotąd wołano na mnie panno Franciszko, a najczęściej Franusiu. Jedno choć trochę wynagrodzi drugie.

Dnia 27 lutego, we środę.

Już Popielec; szkoda! dopiero za rok takie tańce i zabawy będą. Już się goście zaczynają rozjeżdżać, już poseł króla Jmci wyjechał, państwo młodzi wyjadą pojutrze, ale my ich odprowadzimy do Sulgostowa. Pan starosta gości żadnych nie prosił, bo w post nie przystoją huczne zabawy, sama tylko będzie familia; wprosił się jednak i pan kasztelanic pod pozorem towarzystwa szkolnego, jakoż w Lunewilu rok jeszcze był razem z panami Świdzińskimi, rok pierwszy swego tam pobytu, a ich ostatni, bo nierównie od nich młodszy. Bardzo się na *przenosiny* cieszę, gdyżem ciekawa wsi, pałacu, gospodarstwa najukochańszej siostry. Z trudnością mi przychodzi przyzwyczajać się do zwania ją *panią starościną*, ale inaczej już mówić nie wypada, państwo nawet tak ją najczęściej zowią. Bardzo spoważniała po ślubie, bo też zawsze chodzi w kornecie, na rogówce, w sukni z ogonem, zdaje się, że jej kilka lat przybyło; smutna, mało mówiąca; nic dziwnego, żal jej zapewne z domu rodzicielskiego wyjeżdżać i oddać

się zupełnie mężczyznie, którego zna tak mało. To niczmiernie musi być rzecz przykra. Jeszcze bardzo nieśmiała z panem starostą, niktby nie zgadł, że to jej mąż; jeszcze go ani razu tak nie nazwała, on już mówi o niej *moja żonka*, często do niej się przybliża i więcej już z nią, niźli z państwem rozmawia. Pojutrze jedziemy do Sulgostowa.

Dnia 9 marca w sobotę.

Wróciliśmy wczoraj wieczorem z Sulgostowa. Bardzo dobrze się zabawiłam; szkoda tylko, że pani starościna z nami nie wróciła. Już tydzień minął, jak na zawsze nasz zamek opuściła. W przeszły piątek, kiedy już wszyscy goście się rozjechali, ona raniuteńko pojechała do parafialnego kościoła naszego, do Lisowa, gdzie jest ołtarz św. Barbary, jej patronki; tam zawiesiła pół serca szczerozłotego w dowód, że tu na zawsze połowa jej afektów zostanie; potem pożegnała się z proboszczem, z każdym z dworzan i z dworskich zosobna, i każdemu dała jakiś upominek, od każdego dobre usłyszała słowo. Poszła potem do swego gospodarstwa; swoje krowy, kury i gęsi darowała biednemu gospodarzowi z Maleszowej, który niedawno z całą chudobą pogorzał, dwie tylko kokoszki śliczne, czubate i łabędzia prosiła, żeby jej można do Sulgostowa odesłać; ptaszki swoje i kwiatki, koło których bardzo starannie chodziła, mnie oddała; nareszcie obeszła cały zamek od dołu do góry, jak gdyby z każdym kącikiem pożegnać się chciała. Najdłużej bawiła w kaplicy i w naszym panieńskim pokoju. Gdyśmy na prędce jedli podróżne śniadanie,

rzęsiste trzaskanie z bicza słyszeć się dało, a pokojowiec oświadczył, że już wszystko gotowe; pan starosta szepnął żonie do ucha, że jechać trzeba; ona wtedy z wielkim płaczem rzuciła się do nóg państwu, dziękując im za dobrodziejstwa, przez lat ośmnaście doświadczane, przepraszając, jeśli ich w czem kiedykolwiek obraziła, i świadcząc się przed Bogiem, że niczego sobie nie życzy, tylko tak być szczęśliwą w dalszem życiu, jak dotąd nią była. Pierwszy raz widziałam Jmć dobrodzieja płaczącego; o! jak też oboje ją błogosławili; serce rosło słuchając, a ktokolwiek był przytomny, płakał. Wyszliśmy na most, kapitan podnieść go kazał i nie chciał wypuścić pani młodej, póki mu pan starosta nie dał bogatego pierścienia, jako w zakład, że ją tu przywiezie; przez ten czas przypatrywałam się ekwipażom pana młodego; paradne; jedna kareta żółta, trypą ponsową wybita, na dwie osoby, druga landara na cztery, kolaska do lekkiej podróży i bryczek kilka. Konie śliczne, osobliwie sześć siwych, jabłkowitych, u żółtej karety. W tej państwo młodzi pojechali sam na sam i uwierzyłam, czemu wierzyć nie chciałam; za niemi szły pojazdy z fraucymerem, a my na ostatku. Pani starościna tak płakała, że słychać było jej szlochanie, ale bo też wielu z dworskich, kilku z chłopstwa o parę staj ją odprowadzali, błogosławiąc głośno; co miała pieniędzy to im rzuciła, i pan starosta sypnął także suto, a pierwej jeszcze od szafarza do pomywaczki, od marszałka do stróża, każdego obdarzył podarkiem. Gdziekolwiek stanęliśmy na popasie albo na noclegu, wszystko staraniem pana młodego już było gotowe; żyd wyforowany z karczmy, z be-

tami i z bachorami swemi, stoły zastawne, liberya; nareszcie drugiego dnia wieczorem wjechaliśmy do Sulgostowa; już z popasu pan wojewoda z księdzem Wincentym wyjechali najpierwsi, żeby panią starościnę na jej nowosiedlinach przyjąć; na granicy Sulgostowskiej gromada wiejska z sołtysem na czele zatrzymała karetę państwa młodych, ofiarowano jej chleby, a jeden ze starych gospodarzy miał oracyę, po której wszyscy krzyknęli: „Niech żyją sto lat nowożeńcy!“ Za ich wjazdem na dziedziniec, kompania huzarów, którą pan starosta na dworze swoim trzyma, dała ognia z ręcznej broni, kapitan salutował ich oboje. Przed drzwiami stał pan wojewoda z synowcem, stał dwór cały i wszyscy radośnie i uprzejmie panią młodą witali. Skorośmy weszli do pałacu, pan starosta przyniósł żonie swojej ogromny pęk kluczy, oddając pod jej dozór dom cały. Zaraz nazajutrz pani starościna objęła rządy i gospodarstwo, i doprawdy, dziwić się należało, jak jej wszystko szło jak z płatka; ale bo też od małego dziecka Jmć dobrodziejka, jako najstarszą córkę, przyzwyczaiła do wyręczania siebie. Sulgostów w innem położeniu niż Maleszowa, pałac nie zamek, ale wesoły i okazały; dwór liczny, stół dobry, dom zasobny, a co najważniejsza, wszyscy kochanej siostrze przychylni; już widzę, że wkrótce po naszym zamku się odtęskni. Najadłam się i napiłam w Sulgostowie wielu dobrych rzeczy, a między innemi kawy. Państwo nie lubią tego modnego trunku, który się niezbyt dawno w Polsce zjawił, i u nas dają go tylko wtenczas, kiedy są znakomici goście; ma też być bardzo niezdrowy dla młodych panien, szczególniej krew i płeć psu-

je i ja dotąd tylko parę razy, jakby na żart, go skosztowałam. Ale w Sulgostowie napiłam się jej do woli, cała familia pana starosty przepada za tym trunkiem, i na prośby jego i mnie państwo codzień filiżankę wypić pozwalali. Śmiano się z pani starościny, że nie będzie mogła, jak owa *żona* w wierszach naszej poetki, pani Drużbackiej, zarzucić mężowi:

Kawy w moim domu nie znajdzie trzech ziarnek,
Piwa mi z serem każe zagrzać garnek—

i utworzyć sobie z tego powodu punkt do rozwodu. Bardzo nam było smutno powracać. Rozweselał mnie tylko kasztelanic, który nam konno cały czas towarzyszył; prawdziwie słusznie *szarmanckim* go zowią. Jakiż to musi być pryncypał jego!... Pani starościna bardzo płakała, żegnając się z nami. W Maleszowej jeszczem się nie rozpatrzyła, bośmy wieczorem przyjechali, a dziś raniuteńko to piszę; już wiem naprzód, że mi przez czas jakiś smutno będzie.

Dnia 12 marca, we wtorek.

Zupełniem zgadła, bardzo smutno bez najukochańszej siostry; takie pustki w zamku, jak gdyby nikogo nie było, zdaje się, że z sobą cały dwór nasz, całą wesołość zabrała. I państwo bardzo tęsknią; ona, jako najstarsza, najwięcej do nich zbliżoną była, tysiączne im czyniła przysługi, ja, lubo się staram ją zastąpić, przecież ani Jmć dobrodziejowi tak lulki nałożyć nie umiem, ani Jmci dobrodziejce tak zręcznie dobierać kolorów do haftu; z czasem, da Bóg, że się wprawię; nie wiem jednak, czy

kiedy wyrównam Basi (bo choć na ten raz tak ją nazwać muszę). Lubo chcę szczerze, o wielu rzeczach zapominam, a ona tak o wszystkiem pamiętać umiała. Jak ją też mile cały dwór wspomina! Ciągła jeszcze o niej mowa. Już państwo dziś wysyłają pokojowca do Sulgostowa, by się o jej zdrowiu i powodzeniu dowiedział; formalna była lukta między nimi, który ma jechać, każdy miał niezmyśloną ochotę, a Michał Chronowski, który dopiero jutro do Opola ma wyjeżdżać, żałował, że już nie jest pokojowcem. Bardzo smutno w Maleszowskim zamku. Kasztelanic pojechał, a przez te trzy dni nikt nie był, prócz dwóch kwestarzy i jednego szlachcica z sąsiedztwa, który przyjechał prezentować państwu młodą żonę swoją, bo był niegdyś na ich dworze. Bardzo do rzeczy zdaje się człowiek. „Moje serce—powiedział do żony, która z wielkiej nieśmiałości ledwie dwa razy otworzyła usta—jeśli będę dobrym mężem i ojcem, panu staroście za to dziękuj, i oto temu panu marszałkowi; pierwszy mi strofowań, drugi plag z młodu nie szczędził." Podobała mi się ta szczerość jego; udarowali go państwo wspaniale. Zresztą nikt nie był; cicho, głucho, smutno, jak to zwyczajnie po wielkiej wesołości i wrzawie; jednak już raz uśmiałam się serdecznie. Jmć dobrodziejka całą garderobę panieńską pani starościny pannom respektowym i służebnym rozdała; przez czas niebytności naszej każda z tych datków coś sobie zrobiła: to jubkę, to kontusik, to fartuch, to salopkę, i wszystkie, jakby namówione wystąpiły w tych strojach w niedzielę; gdzie rzucić było okiem u stołu, wszędzie był szczątek garderoby Basi, postrzegł to pierwszy *Macieńko*,

westchnął okropnie, a zapytany, odpowiedział, że boleje nad tem rozszarpaniem chudoby ś. p. panny Barbary; wszyscy w śmiech, ja z Teklusią najbardziej, aż nas łajał Jmć dobrodziej i przypomniał nam starodawne przysłowie: „Przy stole, jak w kościele.“ Ale jakże się śmiać nie było.

Dnia 15 marca 1759, w piątek.

Wczoraj zdarzyła mi się też nowa i zupełnie niespodziewana przygoda, która w tym dzienniku miejsce zająć powinna. Gdym jak zazwyczaj w południe z *madame* i z siostrami przyszła na pokoje państwa na obiad, zastałam kasztelanica Kochanowskiego; stojąc we framudze okna z Jmć dobrodziejem, rozmawiał tak żywo, że nie spostrzegł kiedyśmy weszły; nie mogłam dosłyszeć tego, co mówili, jednak obiły się o moje uszy te ostatnie Jmć dobrodzieja słowa, który z niejakim wyrzekł przyciskiem: „O finalnej rezolucyi wnet się Wmość dowiesz.“ I to powiedziawszy, szepnął coś do ucha Jmci dobrodziejce; ta kiwnęła na marszałka, dała mu jakiś potajemny rozkaz i niezadługo dano obiad. Pan kasztelanic naprzeciwko mnie usiadł i dopierom się dokładnie przypatrzyła, jak był wystrojony. Frak aksamitny haftowany, kamizelka atłasowa biała, żaboty i mankiety koronkowe, fryzura jak z pudełka, a szastał się, kręcił, rozmawiał, francusczyzną i dowcipem sadził, dwa razy więcej niż kiedy, bardzo był piękny i zabawny. Obiad trwał dłużej niż zwykle, na pieczyste czekaliśmy chwilę i zważałam, że wtedy pan kasztelanic, lubo prawie nieustannie gadał i śmiał się, przecież

mienił się jak cudowny obraz; nareszcie drzwi od sieni się otworzyły, weszli pacholiki z pieczystem, a mój kasztelanic zbladł jak chusta; spojrzałam na półmiski, obaczyłam gęś z czarnym sosem i domyśliłam się wszystkiego. Nie śmiałam podnieść oczów, dziwne myśli cisnęły mi się razem do głowy, przypomniały mi się owe piękne krakowiaki, zręczne mazury i menuety, wyborne siedzenie na koniu, gładka mowa francuska, śliczne komplementa i jakiś żal serce mi ścisnął; nie miałam odwagi wziąć z półmiska, państwo nawet go się nie tknęli, i gdyby nie szary koniec, byłyby oba zeszły całe; ale Macieńko pierwszy napoczął, a za jego przykładem poszli inni; taki nic dobrego, że wziąwszy udko gęsi na głos powiedział: „Twardyć to wprawdzie kawałek, ale i to się strawi.“ Wieki całe siedzieliśmy u stołu, mnie się przynajmniej tak zdawało, bo mnie i ciekawość dręczyła niepomału. Nareszcie Jmć dobrodziej dał znak wstania; powstaliśmy i gdy każdy był zajęty dziękowaniem Panu Bogu, widziałam jak kasztelanic chyłkiem wymknął się z sali i już więcej nie wrócił, a gdy się dworzanie dworscy rozeszli, państwo mnie odwołali od mojej roboty i Jmć dobrodziej tak do mnie mówił: „Mościa panno! pan Kochanowski, kasztelanic radomski, oświadczył się dziś o twoją rękę; lubo ród jego jest dawny i znakomity, majątek uczciwy i dosyć stosowny, nie zdała się ta partya ani mnie, ani Jmć dobrodziejce; naprzód pan kasztelanic bardzo młody, sam z siebie nic nie znaczy, ś. p. ojca swego tytułem się szczyci i nie odebrał jeszcze żadnej gruntownaj łaski z szafunku dworu; powtóre, nie wziął się jak przynależy do rzeczy, nie użył ani

swatów, ani dziewosłębów, sam dziś oświadczył się jakby z kopyta, żądał natychmiast rezolucyi finalnej, otrzymał też przyzwoitą. Ani wątpimy, że i Waćpanna, Franulku, tegoż zdania jesteś.“ To powiedziawszy, nie oczekując odpowiedzi mojej, kazał mi wrócić do roboty. Zapewne, zastanowiwszy się i z obowiązku i z przekonania sposób myślenia państwa dzielę; ale ponieważ tu wszystko szczerze pisać się obowiązałam, wyznam, że wcale nie dlatego, że młody, ani też, że się wziąć do rzeczy nie umiał, ale najwięcej dlatego, iż niema sam z siebie znaczenia, jak Macieńko powiada—to *nic*, na którem kończy się *kasztelanie*, niewiele blasku przynosi; mnieby się przynajmniej zupełnego kasztelana chciało. Wreszcie Bóg widzi, że jeszcze najmniejszej ochoty nie mam iść za mąż; tak mi dobrze w rodzicielskim domu; kilka dni po powrocie z Sulgostowa smutno mi było, ale teraz już wracam do dawnej wesołości, gram nierównie większą rolę, niż dawniej; kiedy gości niema, mnie czwartej u stołu półmiski podają, ja teraz z państwem wszędzie jeździć będę; szkodaby tego wszystkiego porzucić; a potem zamęźcie kończy zupełnie zawód białogłowy; skoro pójdzie za mąż, jużci klamka zapada i po wszystkiem; wie, czem będzie, gdzie będzie do śmierci; ja zaś w myśli mojej bujać lubię i na wołowej skórze nie spisałby tego, co mi czasem przy krosnach lub przy siatce po głowie się uwija. Jmć dobrodziejka wprawdzie bardzo często powtarza: „Pannie dobrze edukowanej i urodzonej nie przystoi zabawiać myśli mężem.“ Ja też doprawdy, że nie o mężu myślę, tylko tak o różnych andronach, a cokolwiek mi się zdarzy czytać, wszystko to mimowolnie

zaraz do siebie stosuję. Dzielę los wszystkich księżniczek, heroin z dzieł pani de Beaumont, panny de Scuderi, pani de la Fayette i często mi się wydaje, żem na takie same przeznaczona awantury. Teraz, kiedy już Basia za mąż poszła, większą mam ku temu łatwość, ona te bujania zawsze we mnie ganiła i niewiele romansów czytać dawała; lecz dla odwetowania straty czasu w ciągu jej wyprawy sama *madame* wiele mi czytać każe, a im więcej czytam, tem więcej myśli moje rozkołysane. Basia zawsze zupełnie odmienne od mego miała usposobienie; ona mi się nieraz przysięgała, iż nigdy o przyszłości, o mężu nie myśli, chyba przy pacierzu; bo trzeba wiedzieć, że z rozkazu Jmć dobrodziejki, każda z nas, gdy szesnasty rok zaczyna, do prośby o *rozum dobry*, *zdrowie dobre*, *przyjaźń ludzką*, dokłada *i męża dobrego*. Basia zwała rzeczą bardzo słuszną prośbę do Boga o to, żeby był dobry ten, który nam kiedyś ojca i matkę ma zastąpić, z kim żyć trzeba do śmierci, kogo słuchać i kochać należy; ale nigdy w życiu nie postało jej w głowie, gdzie go pozna, jak i kiedy, czy jej się zdarzą jakie szczególne przygody, czy nie; mówiła zawsze: jak się trafi, dosyć będzie czasu; bardzo dobrze na tem wyszła; takiego słusznego dostała człowieka, pisała do państwa, że skoro się odtęskni od ich domu, nie będzie nad nią szczęśliwszej białogłowy; widać, że coraz bardziej kocha pana starostę i że zupełnie z losu swego kontenta. Kto wie, możebym ja takim losem zaspokojoną nie była?... Co bądź to bądź, bardzo dobrze państwo zrobili, że odmówili kasztelanicowi; żal mi trochę nieboraka, iż taki wstyd poniósł, ale nadzieja w Bogu, sprawdzą

się słowa Macieńki i on strawi ten przykry kawałek.

Dnia 17 marca, w niedzielę.

Jużeśmy wczoraj do wieczerzy siadać mieli, kiedy nas zajechali arcy przyjemni i zupełnie niespodziewani goście, księżna W-na Lubelska z mężem, ciotka moja. Dla ważnych spraw i obowiązków, a najwięcej dla obecności królewicza, nie mogąc być na weselu p. starościny, gdy on do Kurlandyi wyjechał, zjechali tu umyślnie, chcąc sobie to nagrodzić i państwu powinszować wydania córki za mąż szczęśliwie. Przyjazdem tych znakomitych gości znów się nasz zamek ożywił; Jmć dobrodziej nie posiada się z radości i prawdziwie miejsca księżnie znaleźć nie umie, radby jej nieba przychylił, tak ją uwielbia i poważa. Księstwo wojewodowie już pięć lat w Maleszowej nie byli, ja przez ten czas z dziecka na pannę wyrosłam, dosyć się też nademną wydziwić nie mogli; wstyd mi wyznać, ale mnie tak z urody chwalili, żem nie wiedziała, gdzie się podziać?... Bardzoć są przyjemne te pochwały, ale kiedy je człowiek jakby przypadkiem słyszy, wręcz powiedzane, niemal przykre; i milej mi teraz wspomnieć je sobie, niż było wczoraj ich słuchać; książę wojewoda powiedział bez żartu, że gdybym się pokazała w Warszawie, zgasłaby i starościanka Wessówna i krajczyna Potocka i księżna Sapieżyna, żona kanclerza, które za pierwsze piękności uchodzą; księżna zaś uznała, że mi tylko nie dostaje lepszego trzymania się, ułożenia, poloru. Jak żyję, tylem pochlebnych nie słyszała rze-

czy, i wcalem sobie nie wystawiała, żebym tak dalece piękną była. Widziałam, jak na te pochwały rosło z radości serce Jmć dobrodzieja, ale co Jmć dobrodziejka, to mnie kazała przywołać dziś rano do siebie i mocno napominała, żebym tym słówkom zupełnej nie dawała wiary, zowiąc je dworszczyzną. Coś mi się wszystko wydaje, że są na mnie jakieś projekta. O! jakbym ja też wiedzieć rada! Niespokojności mnie aż biorą i prawdziwie, że tej nocy dobrze spać nie mogłam, takie mi się dziwy snuły. Ale, bo co też księstwo naopowiadali rzeczy ciekawych, zabawnych; państwo chcieli, żebym, jak zwykle, o dziesiątej z *madame* i z siostrami na górę spać poszła, ale książę wojewoda uprosił, żem do końca wieczoru siedziała. Jakie to były w Warszawie uczty, bale z powodu inwestytury królewicza; nie pamiętają oddawna tak świetnych zapust; w ostatki we wszystkich kolegiach grano tragedye i komedye i taki jest powszechny do królewicza zapał, że wszędzie były do niego przystosowania; tak w ostatni poniedziałek (właśnie w dzień wesela Basi) u księży Jezuitów grano tragedyę „Antygonę“, w której Demetryusz, rycerz wielki, ojca swego od nieprzyjaciół obrania i państwo mu przywraca; na końcu więc takie do królewicza powiedziano wiersze:

Nie u samych synowie wierni byli Greków,
Są Demetryuszowie i u nas tych wieków.
Ty nam, Wielki Karolu, ten przykład wskrzesiłeś;
Gdy lepszego niż Greczyn Ojca krzywd broniłeś.
Bądźże ojcem ojczyzny tej, króluj nad nami,
Wszyscy za ciebie będziem Demetryuszami.

Już więc królewicz głośnych ma stronników, mnie coś do ucha szepcze, że on królem polskim będzie; słuchałam z wielkiem upodobaniem pochwał, które mu dawał książę wojewoda; to mój bohater i on wyjdzie na wielkiego człowieka. Ale cóż, kiedy to u nas o zgodę tak trudno; po kilku drobnych rzeczach dostrzegłam, że księżna wojewodzina nie jest tego zdania, innego króla życzy rzeczypospolitej, nie królewicza, ani Poniatowskiego, zdaje mi się, że jakiegoś trzeciego ma na oku. Czyje też widoki i życzenia Bóg spełni, prawdziwie rzecz ciekawa.

Dnia 19 marca, we wtorek.

Wyjechali księstwo przed pół godziną; jeszcze wczoraj wyjeżdżać chcieli, ale Jmć dobrodziej koła z ich powozów pozdejmować kazał i przekonał, że w poniedziałek puszczać się w podróż niebezpiecznie, bo to jest dzień feralny. Do końca bardzo na mnie byli łaskawi, szczególniej książę wojewoda. Tyle państwu głowę kłócili, że kto wie, czy dla dokończenia edukacyi nie oddadzą mnie na pensyę do Warszawy. Od niedawnego czasu niejaka panna *Strumle*, cudzoziemka, którą, lubo pannę, wszyscy *Madame* zowią, założyła pensyę panien, bo dotąd po klasztorach tylko się chowały; ta jej pensya w wielkiej jest renomie. Z najpierwszych domów córki nabywają tam talentów i poloru; niepospolite subiekta ztamtąd wychodzą i dla młodej panny być czas jakiś u *Madame Strumle* taka zaleta, jak dla kawalera być w Lunewilu. Do niej książę wojewoda choć na rok oddać mnie radzi, tam mam nabrać tego wszystkiego,

co mi niedostaje. Państwo woleliby do Sakramentek, w klasztorze zawsze przyzwoiciej; nie wiem zatem, na czem się skończy, wiem tylko, żem jakaś niespokojna; nie tyle uważam tego, co czytam, robota nie tak dobrze mi idzie, jak dawniej; więcej myślę o tem, co będzie, niż o tem, co jest; tak jestem, jak gdyby mi się co dziwnego stać miało. Nie trzymałam tak dobrze o sobie przed pobytem księstwa, a daleko ze swojej osoby kontentniejszą byłam. Doprawdy, że sama siebie nie rozumiem.

Dnia 24 marca, w niedzielę.

A! Bogu dzięki! pojutrze jedziemy do Warszawy; koniecznie musiałam potrzebować tego wyjazdu, bo od czasu, jak postanowiony, zupełnie jestem spokojna. Nie wiem jeszcze, gdzie oddana będę, ale rzecz pewna, że do Maleszowej nie tak prędko wrócę, bo Jmć dobrodziejka całą moją garderobę zabrać kazała i z jej sukien dwie dla mnie przerobiono. Państwo niespodzianie powołani zostali do Warszawy dla interesów sukcesyi po ś. p. Błażeju Krasińskim, stryjecznym naszym, który zszedł bezdzietnie i znaczny majątek zostawił. Takam szczęśliwa, że jadę, może też dlatego, że zboczymy do Sulgostowa. Pani starościna właśnie wróciła z bardzo miłej podróży; obwoził ją pan starosta po krewnych, sąsiadach, przyjaciołach swoich, wszędzie jej radzi byli; teraz już ciągle w domu siedzieć będzie i bardzo się z tego cieszy; i na wyborną gospodynię się zanosi, pan wojewoda Świdziński z takiem o niej uniesieniem pisał, z taką wdzięcznością, że się aż państwo rozpła-

kali nad jego listem, a to jedynie z radości. Miło, kiedy rodzice nad dzieckiem łzy radości leją. Basia do innych łez nigdy państwu powodem nie była, chyba wtedy, jak ztąd wyjeżdżała. Bardzo się cieszę, że ją zobaczę.

Dnia 7 kwietnia, w niedzielę, z Warszawy.

Sama temu wierzyć nie śmiem; już od wczoraj bawię na owej sławnej pensyi u *Madame Strumle*. Księstwo wojewodowie tak dobrze wszystko ułatwili, żem odrazu wstęp znalazła, a na słowo księżnej Jmć dobrodziej Sakramentek odstąpił. Radość moja niewypowiedziana, bom sobie tego gorąco potajemnie życzyła. Jadąc do Warszawy, byliśmy w Sulgostowie; pani starościna wesoła, szczęśliwa; jak też była państwu rada! Powiedziała mi, że kto tego nie doznał, wystawić sobie nie może, co to jest za szczęście rodziców we własnym domu przyjmować. Wszystkie potrawy, wszystkie trunki i przysmaki, które państwo lubią, wszystkie były na stole przez te trzy dni; nie zapomniała o niczem, coby im przyjemność zrobić mogło, a na wyścigi z panem starostą usługiwała im, dogadzała. Słyszałam, jak dobrodziejka mówiła do niego, że Basia jeszcze lepsza od tego czasu jak za mąż poszła. „Nie lepsza — odpowiedział — już ją taką z rąk państwa dobrodziejstwa dostałem, ale ma teraz większe pole okazania przymiotów swoich, a jaką jest przez te parę dni dla rodziców, taką dla mnie codzień.“ Widać też, że ją serdecznie kocha, a ona jak ojca szanuje go, słucha, poważa. Już się zupełnię rozgospodarowała i bardzo dobrze umie do-

mem zarządzać i gości przyjmować. Państwu nie chciało się wyjeżdżać; ja wyznam szczerze, że mi było bardzo do Warszawy pilno i bardzo byłam temu rada, gdy ich listy do wyjazdu przymusiły. Miałam się do czego spieszyć; tu prawdziwie ukształcę się, wydoskonalę, a ja dosyć mam ochoty zostać niepospolitą białogłową. Chcąc się do tego przysposabiać, wzięłam się szczerze do nauki i zawieszając na czas wszystkie myśli, bujania, całą przyszłość, chcę zająć się jedynie tem, co jest, nie tracić napróżno ani chwili. Wczoraj, jako w dzień, w który tu oddaną zostałam, Jmć dobrodziejka zawiozła mnie do kościoła; spowiadałam się i komunikowałam z jej rozkazu na tę intencyę, żeby nauki i światło, których mam tu nabrać, na dobre, nie na złe mi wyszły. Usłuchałam, lubo tego nie pojmuję, jakby inaczej stać się mogło. Skoro się rozpatrzę na tych nowosiedlinach, opiszę wszystko;—dotąd jestem odurzona. Przywykła widzieć zawsze znajome twarze wydziwić się nie mogę, iż tu nie znam nikogo.

Dnia 12 kwietnia, w piątek.

Już zupełnie się rozpatrzyłam i nieco oswoiłam z nową siedzibą moją. *Madame Strumle* bardzo mi się podoba, do rzeczy białogłowa i dziwnie na mnie łaskawa. Nie tak tu dworno, wspaniale, huczno, jak w Maleszowskim zamku, ale uczciwie i dosyć wesoło; mnie sama nowość bawi; naprzykład: niema ani pacholików, ani hajduków, tylko do stołu i wszędzie same usługują kobiety. Jest nas panien kilkanaście, wszystkie z najpierwszych domów i młodziuteńkie.

Bardzo tu często wspominają siostrę pana starosty, pannę Maryannę, dzisiejszą kasztelanową połaniecką; była na tej pensyi przez parę lat i w sercu *Madame* i towarzyszek swoich słodką i niewytartą pamięć zostawiła. Ma to być dobra, rozsądna, wesoła, ze wszech miar przyjemna i nieoszacowana osoba; bardzo dobrze nauki przyjęła. Państwo, przypatrzywszy się tej pensyi, zupełnie zaspokojeni zostali; już w klasztorze nie może być panna lepiej strzeżona. *Madame* nosi w kieszeni klucz od drzwi wchodowych, nikt bez jej wiedzy, ani wyjść, ani wnijść nie może; gdyby nie kilku starych metrów, możnaby zapomnieć, jak mężczyźni wyglądają; krewnym żadnym płci męzkiej bywać nie wolno. Metr od tańca chciał już przy mnie, żeby panowie Potoccy, w kolegium Jezuitów będący, mogli tu bywać i z siostrami swemi razem kontredansów się uczyć, *Madame Strumle* ani słyszeć o tem chciała. „Ci panicze nie są braćmi wszystkich pensyonarek moich, tylko dwóch — powiedziała — a zatem przystępu do mego domu pozwolić im nie mogę.“ Mam metra od francuskiego i od niemieckiego języka, od tańca, od rysunku, od haftu i od muzyki; śliczny tu jest klawicymbał, nie taki szpinet jak w Maleszowej, ma aż pół-szóstej oktawy, a tony 22 razy odmieniać można. Kilka jest panien, które już polskiego tańca wcale nieźle zagrać potrafią i to nie z palców, ale z nut. Metr mi obiecuje, że najdalej za pół roku dojdę i ja do tej doskonałości, miałam też i z domu jakie takie początki. Rysuję dotąd same wzorki i dosyć zręcznie mi to idzie; ale nim dokończę edukacyi, muszę koniecznie tyle się nauczyć,

żeby zrobić farbami suche drzewo, na gałęzi zawieszony wieniec z kwiatów, a w środku cyfra państwa, i ofiarować im to dzieło w nagrodę poniesionych kosztów, bo zapewne dosyć znaczne będą. Księżniczka Sapieżanka, tu od roku będąca, robi właśnie takąż malaturę dla rodziców i mnie aż zazdrość bierze, ile razy spojrzę na tę jej robotę. Jakby dobrze się wydawała w bawialnej sali w naszym zamku, pod tym wielkim mego ukochanego biskupa obrazem. Metr od tańców, prócz menueta i kontredansa, uczy nas chodzenia, kłaniania się; ja dotąd na jeden tylko manier się kłaniam, a to ich jest kilka: inaczej królowi, inaczej królewiczom i innym panom i paniom; o ukłon królewiczowski najpierwej prosiłam i najlepiej go umiem; może też choć raz księciu kurlandzkiemu się ukłonię. Nieustannie zajęta, chciwa nauki, czas mi prędko i dosyć mile schodzi; Jmć dobrodziejka już raz mnie odwiedziła, bardzo zakłopotana sprawami; wyznam szczerze, że pierwszych dni dziwno mi tu było; te ciągłe przestrzegania, pokuty, ten krzyż żelazny, w który mnie ubrano, żebym się prosto trzymała, ta machina, w której po godzinie stać potrzeba, żeby się nogi prostowały (choć moje, zdaje mi się, że dosyć są proste), wszystko to nie szło mi w smak. Na weselu Basi i po jej odjeździe zupełnie na słuszną pannę wyszłam; oświadczenie kasztelanica Kochanowskiego, pochwały i szeptania księcia wojewody, wszystko gdzieś daleko myśl zawiodło; jużem sądziła, że jestem czemściś; aż tu nagle zdziecinniałam; *Madame Strumle* nawet z pacierza prośbę *o dobrego męża* wyrzucić kazała, a na to miejsce *nau-*

kę dobrą włożyła. I tu prawdziwie o czem innem niż o nauce myśleć niepodobna.

Dnia 28 kwietnia, w niedzielę.

Już trzeci tydzień pobytu mego na pensyi się kończy, a ja ani słowa w tym dzienniku nie napisałam; bo dnie zupełnie jednakowe prędko schodzą, ale mało rzeczy do opisu podają, oto i w tej chwili dumam nad tem, co piszę? Państwo niezadługo wyjadą. Księżna wojewodzina raczyła mnie odwiedzić i uważała, że się lepiej trzymam; metrowie ze mnie kontenci, *Madame* bardzo łaskawa, panny przychylne i grzeczne, zresztą nic a nic nie wiem. Zdaje mi się niepodobną rzeczą, żebym ja w Warszawie była, bo z publicznych rzeczy nierównie mniej wiem i znakomitych ludzi nierównie mniej widzę niż w Maleszowej. Królestwa oko moje nie ujrzało. Księcia kurlandzkiego wcale niema i nie tak prędko powróci.

Dnia 9 czerwca, w niedzielę.

Gdybym zawsze na pensyi zostać miała, wnetby ustał mój dziennik, a szkoda, że nie mam co w nim pisać, bo może zupełnie po polsku zapomnę; prócz listów do państwa, którzy już wyjechali, gdyż urządzenie tej sukcesyi nie tak prędko się ułatwi,—prócz rozmowy z garderobianką moją i tego dziennika, nigdy ojczystej mowy nie używam, wszędzie i zawsze po francusku. W naukach znaczne postępy czynię, a co mnie mocno cieszy, księżna wojewodzina, któ-

ra mnie przez micsiąc cały nie widziała, zapewnia, żem znacznie urosła i że już bardzo dobrze się trzymam. Teraz, kiedy tak pięknie i zielono na świecie, czasem nie wiedzieć zkąd jakaś tęsknota mnie napada, chciałabym być ptaszkiem, wylecieć daleko i znów do mojej klatki powrócić; ale nic z tego, trzeba siedzieć, a jeszcze na takiej ulicy, na Bednarskiej, podobno z całej Warszawy najbrzydszej. Na przyszły rok, da Bóg doczekać, będzie inaczej.

Dnia 26 lipca, w piątek.

Przy zatrudnieniu, choć bez zabaw i nowin, dnie, jak widzę, bardzo prędko mijają; dziś za głowę się wzięłam, kiedy po tak długiem milczeniu, chcąc coś napisać w tym dzienniku, szukałam w kalendarzu, jaki dzień mamy, i dowiedziałam się, że już siedm niedziel, jak się go ani tknęłam; dzisiejszy dzień jednak pamiętnym mi będzie, dziś, jak żyję na tym świecie, pierwszy list do siebie pisany odebrałam. Nieoszacowana pani starościna zrobiła mi tę przyjemność i na kopercie napisała mój adres. Już więc na poczcie wiedzą, że jest w Warszawie *Mademoiselle la Comtesse Françoise Krasińska;* skakałam z radości, ten list odebrawszy, schowam go razem z kopertą na wieczną pamiątkę. Pani starościna zdrowa, szczęśliwa i taka łaskawa, że z intrat ogrodowych, które jej pan starosta do rozporządzenia oddał, przysłała mi cztery dukaty w złocie, żebym z niemi zrobiła, co mi się podoba. Pierwsze to pieniądze, których panią jestem, i te niemało mnie ucieszyły. Co też na nie miałam projektów; zdawało mi się,

że całą Warszawę zakupię. Dla siebie nic nie potrzebuję, bo z łaski państwa mam wszystko, ale chciałam każdej pannie zostawić upominek i dać każdej po pierścionku złotym; *Madame* mnie zmartwiła, mówiąc, iżby zaledwie dla czterech wystarczyło; chciałam potem kupić dla *Madame Strumle* salopkę blondynową, alem się dowiedziała, że taka kilkadziesiąt dukatów kosztuje; nareszcie po długich wahaniach tak się namyśliłam: dukata poślę do Fary do Pana Jezusa na Mszę, żeby państwa interesa dobry obrót wzięły i pani starościna zawsze tak szczęśliwą była, jak teraz; dukata zmienię na tynfy i rozdam między służebne tego domu, a za dwa dukaty w niedzielę małą ucztę wyprawię; będzie kawa, której tu nigdy nie pijamy, będą ciasta, owoce; już *Madame Strumle* zezwoliła na ten użytek pieniędzy. Niech Bóg da zdrowie kochanej pani starościnie, że mi taką przyjemność sprawiła, bo jak mnie się zdaje, większej niema nad częstowanie i obdarzanie drugich; jeśli sobie życzę dostać męża jeszcze bogatszego od siebie, najwięcej dlatego, żebym pieniądze i podarki suto rozdawać mogła. Moja edukacya znacznym postępuje krokiem, już kilka kontredansów i menuetów gram z nut, a wkrótce zacznę się uczyć najmodniejszego teraz polskiego tańca, nie pięknie, bo *Sto dyablów* zwanego; najdalej za miesiąc suche drzewo z wieńcem będzie w robocie; haftuję też na kanwie strzelca z fuzyą i z hartem na smyczy; czytam wiele, piszę pod dyktacyę, przepisuję, po francusku gładziej mówię niźli po polsku i w tem dowodzę, że niezadługo do dobrego tonu należeć będę mogła. O taniec ani się pytać, nie wiem, czy mi metr nie pochlebia, ale

mówi zawsze, iż w całej Warszawie niema takiej, jak ja tancerki. U księstwa bywam czasem, ale rano, kiedy nikogo niema, zawsze tam miłych nasłucham się rzeczy, osobliwie od księcia, który jużby miał ochotę, żeby mnie odebrano z pensyi, ale księżna i państwo zimy chcą czekać. Dopiero koniec lipca, to bardzo daleko. Czy też ta zima przyjdzie kiedy?

Dnia 26 grudnia, we wtorek.

Przyszła nietylko zima, ale i chwila opuszczenia pensyi, przyszedł ten moment pożądany, w którym inne zupełnie rozpocznę życie. Dziennik mój nawet zrobi się obfitszym, zabawniejszym i także z tego niezmiernie się cieszę. Nie wrócę do Maleszowskiego zamku, aż Bóg wie kiedy; księstwo tak łaskawi, iż żądali koniecznie i otrzymali od państwa pozwolenie zatrzymania mnie przez tę zimę u siebie i wprowadzenia w wielki świat i osiądę na dobre u księstwa. Żal mi trochę porzucać *Madame Strumle* i panny, z któremi się zaprzyjaźniłam, ale wyznam szczerze, że radość wydobycia się z tej klatki, poznania tego świata, o którym już tak dawno słyszę i myślę, zupełnie żal przemaga. Wnet zobaczę króla, królewiczów, będę u dworu; księcia Kurlandzkiego codzień się spodziewają i jego poznam; ach! jakże od tych dni kilku, co wiem, że już rzucę pensyę, czas pomału idzie.

Dnia 28 grudnia, w sobotę.

Dzisiejszy dzień na zawsze dla mnie pamiętny; z rana przyjechała sama księżna wojewodzina i wzię-

ła mnie; przy niej żegnałam się z pannami, z *Madame Strumle* i pomimo tego, żem tej chwili od tak dawna żądała, od łez wstrzymać się nie mogłam. Po drodze wstąpiliśmy do kościoła, ale nie byłam zdolną modlić się dobrze, bo myśli dziwnie były rozbujane. Jużem usadowiona; księstwo mieszkają w swoim pałacu na Krakowskiem-Przedmieściu [1]), prawie naprzeciwko pałacu księcia wojewody ruskiego; niezbyt on wielki, ale wcale piękny; z drugiej strony ma widok na Wisłę i maleńki ogród; ja mieszkam w ładnym pokoju, który w lecie osobliwie dziwnie musi być przyjemny, bo z gankiem i wyjściem do ogródka; z jednej strony mam komunikacyę z księżną, z drugiej ze służebną moją; już był krawiec, brał mi miarę i dziwił się nad szczupłością i giętkością stanu mego; zrobi mi sukien par kilka, nie wiem, jakie będą, bo księżna sama dysponuje, a takie uszanowanie (bodaj czy nie strach) we mnie wzbudza, że i spytać jej się o nic nie śmiem. Książę, choć mężczyzna, daleko mi mniej imponuje, bo też bardzo łagodnego charakteru i wielce przyjemny, żal mi, że go teraz w Warszawie niema; pojechał do Białego-Stoku, naprzeciw księcia kurlandzkiego; w tych dniach oba wrócić mają; w wysokich jest łaskach u królewicza. Jutro mamy jechać na wizyty, księżna mnie obwiezie po znaczniejszych domach, gdyż tak się zawsze czyni, kiedy kto chce być znanym i na kompanie proszonym. Trochę się lękam tych wizyt, a oraz i cieszę się niemi: będą mi się przypatrywać, ale i ja też wiele rze-

---

[1]) Dzisiejszy pałac Tarnowskich.

czy i osób zobaczę, początek każdej rzeczy jest przykry.

Dnia 29 grudnia, w niedzielę.

Trzy dobre nowiny mam do zapisania; królewicz Karol wczoraj o godzinie pierwszej z południa przyjechał, z nim książę wojewoda, który mnie jak rodzoną córkę w domu swoim witał. Już po wizytach; oddaliśmy ich kilkanaście; nie wiem, czy potrafię wszystkie domy wyliczyć, zwłaszcza, że były takie, gdzie nas nie przyjęto, jako to: u posła francuskiego i hiszpańskiego, którzy tu są z żonami, u Prymasa i u wielu innych; tam księżna zostawiać kazała karteczki ze swoim tytułem i nazwiskiem. Najprzód byliśmy u pani Humieckiej, miecznikowej koronnej, jako u wujenki mojej, potem u księżnej strażnikowej Lubomirskiej, bratowej księstwa; ta, jako młoda, przystojna, i księżniczka Czartoryska z domu, rej między młodemi paniami wodzi i niezmiernie francuzczyznę lubi. Bardzo mi się przydaje moja umiejętność we francuskiej mowie, której już dobre początki wywiozłam z Maleszowej, a wydoskonaliłam na pensyi. Tu, im dom znakomitszy, im gospodyni młodsza, tem więcej po francusku mówią, a jak mężczyźni poważni łaciną strzępią mowę swoją, tak młodzież francuzczyzną. Wolę ten zwyczaj, bo rozumiem, co mówią. Byliśmy u hetmanowej Branickiej; jej mąż, hetman wielki koronny, jest jednym z najbogatszych panów w Polsce, ale dwór źle go widzi. Byliśmy i u księżnej wojewodziny ruskiej, u tej rozmowa była co do słowa po polsku; bo też to już

stateczna pani, podobała mi się niezmiernie. Poznałam u niej jedynaka jej syna, dziwnie przystojnego i grzecznego kawalera, wiele mi pięknych rzeczy powiedział i bodobnom na tej wizycie najlepiej się zabawiła. Ale źle mówię, zabawiłam się równie dobrze u kasztelanowej krakowskiej, Poniatowskiej. To białogłowa niepospolita, wiele i z zapałem mówiąca; zastaliśmy ją w wielkiej radości, gdyż w gronie familii witała ukochanego syna, który niezbyt dawno z Petersburga powrócił, owego syna, o którym to mówią cichaczem, że królem może będzie. Przypatrywałam mu się pilnie; nie mogę powiedzieć, żeby mi się podobał, ale przyznać muszę, że piękny i grzeczny. Nie wiem, czy to tak z natury, czyli też udanie, ale zdawało mi się, jakby już coś królewskiego miał, czy chciał mieć w sobie: wspaniała i układna nad wiek postawa, chód i ukłon inny niż u wszystkich. Zabawiłam się także wybornie u wojewodziny podolskiej, Rzewuskiej, bośmy zastali i męża jej, hetmana polnego. O przygodach dziecinnych lat jego, jak w dobrach ojca między wiejskiemi dziećmi ukryty, boso chodził; o męztwie, zahartowaniu, tyle słyszałam od Jmć doborodzieja, iż dziwnie mi było go widzieć. Ma lat przeszło 50, zdrów i silny; obyczajem dawnych Polaków brodę nosi, co mu powagi dodaje; ma być i niepospolicie uczony; książę wojewoda mi powiadał, że wcale piękne tragedye pisze. Byliśmy i u pani Brühlowej, żony ulubionego ministra króla Jmci; chociaż jego nikt nie szacuje, u niej wszyscy bywają i z powinności i chętnie, bo bardzo grzeczna osoba. Byliśmy także u pani Sołtykowej, kasztelanowej sandomierskiej. Już wdowa, ale je-

szcze młoda i przystojna; prezentowała nam swego syna, Stasia; stryj jego, biskup krakowski, chce koniecznie wziąć go do siebie na edukacyę, a matce żal niezmierny z nim się rozłączyć. Chłopczyna mieć może lat dziewięć, a już grzeczny i rozmowny; jeszcze nie siedziały poważne panie, kiedy on już dla mnie krzesło przysunął; powiedział mi gładki komplement i pani kasztelanowa mówiła, że niezmiernie piękne twarze i czarne oczy lubi. Byliśmy u podskarbiny wielkiej koronnej, Moszyńskiej, także wdowy, ona najczęściej w Dreznie gości; łaskawie, czule nawet mnie przyjęła; jakiś nadzwyczajny afekt ciągnie mnie do niej; zdaje mi się, jakbym ją oddawna już znała. I ona uspokoić się nad moją urodą nie mogła; już to prawdę powiedziawszy, wszędzie o niej mówiono, lubo nie wszędzie głośno; alem ja się zawsze tego domyślała; wyznać też trzeba, że nigdy w życiu, nawet na weselu Basi, nie byłam tak pięknie ubrana, nie było mi tak do twarzy. Miałam suknię grodeturową białą z szerokiemi gazowemi falbanami, niebieską turkiezą z ogonem, a na głowie perły. Zupełnie byłabym kontenta z tych wizyt, gdybym była gdzie księcia kurlandzkiego spotkała, a z tą nadzieją wyjeżdżałam, ale omyloną została. Po długiem niewidzeniu się z ojcem, z królem Jmcią cieszy się teraz i nie wyjeżdża z królewskiego pałacu. Łatwo to pojąć i mnie już nieraz (osobliwie na pensyi) bardzo było do państwa tęskno. Ale wkrótce karnawał się zacznie, balów, asamblów będzie bez końca, królewicz Karol na wszystkich prawie bywa, gdyż, jąk książę wojewoda mówi, bardzo bawić się lubi; poznam go więc bezwątpienia.

Dnia 1 stycznia 1760 r., w środę.

Otóż spełnione życzenia moje, i jak! Nietylko poznałam królewicza, ale mówiłam z nim; nietylko mówiłam z nim, ale i... Lecz nie będzież to zbyteczna śmiałość napisać to, do czegobym się może nikomu nie przyznała, czemu zaledwie śmiem wierzyć, co mi się może jako niedoświadczonej dziewczynie przyśniło?... Oj! nie przyśniło się! co nie, to nie! Ja zawsze wiem dobrze, kiedy się komu podobam; jeszczem się nigdy w tej mierze nie omyliła; miałżeby to być raz pierwszy. I proszę, cóżby w tem było tak dziwnego, że kiedy mnie Pan Bóg piękną stworzył i wszyscy mnie za taką uznają, królewicz patrzył na mnie takiemi oczyma jak wszyscy! Jak wszyscy? Oj! podobno w oczach jego coś więcej, niż we wszystkich było. Może też to oczy takie; pierwszyć on królewicz, któregom w życiu widziała i słyszała; na tym balu maskowym nie było innego, zapewne każdy z nich taki uprzejmy i grzeczny... Takażby wielka między nimi i innymi ludźmi miała być różnica?... Ale rzecz każdą zawsze porządnie opisywać należy, trzeba więc wszystko powiedzieć koleją. Wczoraj rano, księżna kazała mnie zawołać do siebie i tak mi powiedziała: „Dziś, jako w ostatni dzień roku, bywa zwyczajnie reduta, czyli bal maskowy, wszyscy panowie, król nawet i królewicze bywają na nim i wćpanna będziesz z nami ubrana za dziewicę słońca.“ Ucieszyłam się niesłychanie i pocałowałam księżnę w rękę. Niezadługo po obiedzie zabrano się do ubioru mego; zupełnie on był od zwyczajnego odmienny, bo

bez pudru, bez rogówki... Księżna mi powiedziała bardzo poważnie: że lubo strój mój wcale nie jest przyzwoity i zgubioną byłaby białogłowa, któraby w innej okoliczności podobnież się ubrała, ona się spodziewa, że ja najmniejszej nieprzyzwoitości nie popełnię, i układnością twarzy i postawy nagrodzę, co strojowi na powadze zbywa. Usłuchałam jej wiernie; chociaż wesołą i żywą jestem, umiem przybrać wspaniałą minę i tak mi się to udało tego wieczora, że wiele osób słyszałam pytających się: „Cóż to za przebrana królowa?“ Nie przyszło mi to dotąd do głowy, a teraz mnie ta myśl zmartwiła... Nie sposób tak codzień chodzić, a może w tym ubiorze ładniejszą byłam niż codzień?... Ładniejszą, jak ładniejszą, ale zupełnie inną. Włosy z pudru wyczesane, jak kruk czarne, spadały, wijąc się na czoło, szyję i ramiona, suknia gazowa biała, bez ogona, w stanie bogatą przepaską ściśniona, na piersiach słońce złote, a na głowie wielki welum przezroczysty i biały, który owijał mnie całą jakby obłokiem. Nie poznałam się, gdy po skończonym ubiorze pozwolono mi się przejrzeć w zwierciadle; możeby mnie dziś nie poznano?... Gdyśmy weszli do sali, już była prawie pełna, odurzałam się na to mnóstwo osób pięknie i rozmaicie ubranych, w maskach, bez masek, w strojach zwyczajnych i nadzwyczajnych, nie wiedziałam, gdzie wzrok obrócić, komu się przypatrywać najpierwej? Wtem szmer się zrobił, *Książę Kurlandzki!* powiedziało głosów kilka, i w gronie dorodnej i bogato przystrojonej młodzieży ujrzałam go. Lubo w mało co odmiennym od otaczających go ubiorze, odrazu go poznałam, bo wzrostem, kształtną i okazałą posta-

cią, łagodnością dużych oczów niebieskich, słodyczą uśmiechu, różnił się od wszystkich. Pótym na niego patrzyła, póki on mnie nie zobaczył, ale skoro się oczy nasze raz spotkały, już przypatrywać mu się nie mogłam, bom zawsze jego wejrzenie spotykała, widziałam jak się o mnie pytał, i kogóż? księcia wojewody; widziałam wyraz radości na twarzy jego, gdy się dowiedział, kto jestem, i jeszcze ten wyraz nie znikł, kiedy przystąpił do księżnej, przywitał ją uprzejmemi słowy i głosem nad wyraz miłym. Zaraz po pierwszych komplementach, wzięła mnie księżna za rękę i prezentowała jako siostrzenicę swoją; ani wiem, jak się ukłoniłam, podobno nie tak, jak mnie metr uczył, bom bardzo była zmieszana, nie wiem także, co królewicz do mnie mówił, tylko, że otworzył bal z księżną, a drugiego polskiego tańca już ze mną tańcował i, czegobym się nigdy nie była spodziała, on mówił do mnie, a ja mu dosyć śmiało i gładko odpowiadałam. Pytał się o państwo, o panią starościnę, o jej wesele; dziwno mi było, zkąd to wszystko mógł wiedzieć, ażem sobie przypomniała, że kasztelanic Kochanowski zausznikiem jest jego. Taki poczciwy, że nietylko strawił gęś z czarnym sosem, ale jeszcze jaknajlepiej królewicza o wszystkich nas uprzedził, mnie bardzo zachwalił, lecz jak mówił królewicz, ani przez połowę jak należało. O! jak też wiele podobnych powiedział mi rzeczy i w czasie tego tańca i innych, bo prawie z nikim tylko ze mną i menuety i kontredanse tańcował, a usta mu się nie zamknęły. Kiedy o północy uderzono z armat na znak, że rok nowy starego pokonał, powiedział mi: „O! na zawsze tę noc pa-

miętać będę, nietylko Nowy Rok, ale nowe życie rozpoczęła dla mnie.“ A jak wiele do ubioru mego zręcznych przystosowań; ani podobna wyrazić tego po polsku, bo on ciągle po francusku mówił: nie to złoto na piersiach, ale oczy moje były słońcem; ich spojrzenie ogień wieczny w sercach wznieca i tysiąc podobnych rzeczy; piękniejszych komplementów ani w romansach pani *Scuderi*, ani w pani *de la Fayette* nie czytałam. Miałażby to wszystko być dworszczyzna, udanie, miałżeby te przyjemne słówka mój ubiór jedynie sprowadzić? Bieda mi wielka, że nie mam się kogo o to zapytać; państwo w Maleszowej, księżnej się boję, księciu, jako mężczyźnie, takich rzeczy mówić nie śmiem; sama sobie zostawiona, tydzień temu jeszcze na pensyi, wśród nauk, metrów, dziś już grająca jakąś rolę na świecie, zupełnie omamiona. Za dziesięć dni najdalej Basia ma tu zjechać; ona rozsądna, ona mnie pewno oświeci, cieszę się niezmiernie z jej przyjazdu, już trzy kwartały, jakem nie widziała tej ukochanej siostry, wiem tylko, że coraz szczęśliwsza, coraz więcej od męża kochana... Mój Boże! czy ja też jeszcze kiedy królewicza obaczę? czy on mnie też pozna w zwyczajnym stroju moim?

Dnia 3 stycznia w piątek 1760, w Warszawie.

Ciekawość moja niedługo natężoną była, widziałam królewicza już nawet dwa razy, i poznał mnie. Ani pojmuję, zkąd mi takie dziecinne obawy przyjść mogły do głowy? gdyby się on nie wiem jak przebrał, wszakbym go poznała; dlaczegóż on miałby być

mniej uważnym? Ledwiem w dzień Nowego Roku dziennik pisać skończyła, kiedy przyszedł do mego pokoju książę wojewoda. „Franusiu! — powiedział — przeszłaś wszelkie spodziewanie; ułożenie twoje na wczorajszym balu było wyborne, podobałaś się powszechnie, a nawet znakomitym osobom. Wracam w tej chwili z pokojów, gdziem wraz z senatorami i ministrami królowi Jmci powinszowania składał; Jego królewiczowska mość książę Kurlandzki przyszedł sam do mnie i wyznał, iż nie widział nigdy nic podobnego tobie; i gdyby nie etykieta dworska, która go przymusza cały dzień dzisiejszy z królem Jmcią strawić, złożyłby ci osobiście powinszowanie swoje.“ Myślałam, że mi krew wytryśnie z twarzy, takim rumieńcem spłonęłam na te przyjemne słowa; Książę zaś, jakby tego nie widząc, odszedł, a mnie zostawił z radością i z myślami memi... Nie omyliłam się więc w niczem... Nietylko na balach, ale w domu widywać będę królewicza! „Nie widział nigdy nic mnie podobnego!“ te ostatnie wyrazy nieustannie dotąd słyszę, jakby mi je kto ciągle powtarzał, a pochlebne słówka tak mile w ucho wpadają! Dano wnet znać do stołu, nadzwyczaj byłam wesoła, księżna aż strofowała mnie kilka razy; zaraz po obiedzie pojechaliśmy znów na wizyty, aleśmy tylko dwa razy wysiedli; bo wszystkie osoby, którym księstwo powinszowania złożyć chcieli, wyjechały w tymże samym celu; spotykaliśmy się na ulicach; zatrzymywały się karety, często kilka się ich zjechało, oddawano sobie nawzajem bilety; wielki był krzyk, śmiech, wrzawa. Powiększyła się jeszcze uciecha, gdy się ściemniło, bo wtenczas hajduki i laufry po-

zapalali pochodnie i pięknie było patrzyć na to mnóstwo migających się świateł, wśród tego natłoku powozów, jezdnych, liberyi i koni. Było nawet przypadków kilka, ale nam, Bogu dzięki, nic się nie stało. Już o późnej porze wróciliśmy do domu; zmęczona, usnęłam prędko, lecz dziwne marzenia uwijały mi się we śnie... Nazajutrz o samem południu, kiedy już na cały dzień ubrana, siedziałam z księżną w dużym bawialnym pokoju, którego okna na ogród wychodzą i nową w krośnach rozpoczynałam robotę, wpada z pośpiechem pokojowiec i woła: „Jego Królewiczowska Mość Książę Kurlandzki!“ Księżna zerwała się i pobiegła przyjąć go u drzwi przedpokoju; ja w pierwszem poruszeniu schronić się chciałem, ale ciekawość przemogła bojaźń i zostałam. Wszedł; natychmiast przystąpiłam do krosien, pytał się o moje zdrowie; lubo zmieszana, odpowiedziałam wyraźnie; a gdy usiadł przy krosnach, zajmując się moją robotą, tylem na sobie przemogła, że pomimo rąk drżenia, kilka cieniuchnych igieł dosyć grubym jedwabiem nawlekłam odrazu; królewicz chwalił moją zręczność, bawił z pół godziny i chociaż najwięcej z księżną rozmawiał, znalazł przecież sposobność umieszczenia wielu grzecznych dla mnie słówek; mogłam się przekonać, że mnie strój nie odmienił w jego oczach; żegnając się oświadczył, iż spodziewa się widzieć nas dziś jeszcze na balu. Dowiedziałam się wtedy, że poseł francuzki margrabia d'Argenson daje bal i że ja mam być na nim, jakoż byłam. Niech się schowa wesele Basi; nie co do parady, ale co do grzeczności i zabawy. Jakże to wszyscy w tej Warszawie wysoko edukowani! Co kto usta otworzy, to komplement;

najpiękniejsze jednak krolewicza komplementa; ale nie mógł tyle ze mną rozmawiać, jak na balu maskowym, ja mu też nie odpowiadałam tak śmiało; naprzód już nie byłam *Dziewicą Słońca*, tylko sobą samą, bo teraz inaczej, a powtóre zawsze się tak zdarzało, iż która z dam obecnych stała tuż koło nas, jakby podsłuchiwać chciała. To mi się nie podobało: brzydko tak być ciekawą, zwłaszcza osobom wysokiej edukacyi. Księżna w bardzo dobrym humorze, królewicz z nią tylko jedną z poważnych pań na wczorajszym balu tańcował. Książę, jeszcze łaskawszy na mnie niż zwykle, ale i zapytań wszelkich unika i żadnych mi rad nie daje; coraz z większą niecierpliwością kochanej siostry wyglądam. Cóżbym ja jej też rzeczy powiedzieć miała!... Dopiero dziś tydzień, jakem pensyę opuściła, a zdaje mi się, że już miesiąc; tyle przez ten czas myśli się przesunęło, tyle uczuć doznało, tak zupełnie inną jestem, tak rzeczywistość przechodzi nawet marzenia.

Dnia 5 stycznia, w niedzielę.

Ktoby to zgadł? Przez cały dzień wczorajszy królewicz, bale, zabawy i wszelkie marzenia, zniknęły mi zupełnie z myśli; zajęta byłam siostrą jedynie, lubom jej wcale dotąd nie widziała. Przyjechała wczoraj zrana wcześniej niż przyjechać miała, bo niespodzianie zasłabła; ledwie stanęła w mieszkaniu swojem, cierpienia jej się wzmogły; przybiegli tu dać znać; księżna natychmiast pojechała do niej na cały dzień; jam koniecznie także jechać chciała, ale mi nie

pozwolono; w okropnych niespokojnościach byłam do północy, do trzech kościołów posyłałam na msze, nareszcie o pierwszej wróciła księżna z pomyślną wiadomością, że Basia zdrowa i córkę powiła. Dziś prawie na klęczkach prosiłam, żeby mnie do niej puszczono, ale odpowiedziano mi, że ją nie tak prędko zobaczę; gdyż nie przystoi pannie dobrze wychowanej odwiedzać położnicy. Pan starosta był tu na chwilę, uszczęśliwiony, że ojcem został; dziewczynka ma być śliczna, tłusta, rumiana, będzie się zwała Aniela, dla kochanej matki naszej; żeby mi przynajmniej ją widzieć dano; cóż mi z tego, żem ciotką, kiedy nie znam mojej siostrzenicy. Królewicz dziś rano przysłał tu, winszując wnuczki i dowiadując się o nasze zdrowie? Jak mi przykro, że siostry widzieć nie mogę, wyrazić nie potrafię; takem jej wyglądała niecierpliwie; i na cóż mi się zda jej przyjazd?

Dnia 8 stycznia, we środę.

Kochana siostra co dzień zdrowsza, ale jeszcze w łóżku leży; królewicza raz tylko przez te dnie widziałam; wyjeżdżał onegdaj na polowanie z królem, ale za to wczoraj był znów niespodzianie z wizytą i więcej niż godzinę bawił. Jaki on też dobry być musi, jak ojca kocha! O ś. p. królowej ze łzami wspominał; widać równie, że wielką skłonność do Polaków czuje, że mężną ma duszę. Ach! wszystko, com kiedykolwiek o nim słyszała, com tu sama zapisała w tym dzienniku, wszystko to szczerą jest prawdą; owszem, za mało go jeszcze chwalono; bo któżby opisać potrafił wdzięk jego głosu, uśmiechu

i słodycz spojrzenia; ani się dziwię, że się imperatorowej podobał, że serce Kurlandczyków skłonił, ani się dziwić będę, gdy po śmierci ojca polacy królem go swoim okrzykną... I jam mu się podobała! czasem mi się zdaje, że to być nie może... jednak mi to wczoraj jeszcze oczy, mowa jego i słowa księcia wojewody stwierdziły. Księżna mnie nieco zasmuciła, bo jakby niechcący powiedziała u stołu, że królewiczowi bardzo wiele białogłów się już podobało i zawsze ta, którą ostatnią pozna, najpiękniejszą mu się wydaje... Ale jakam ja też dziecinna! Czegóż się tem smucić? czyż na całym świecie mnie jedną tylko Pan Bóg stworzył; w moich oczach wszystkie trzy warszawskie piękności, starościanka Weslówna, krajczyna Potocka, księżna Sapieżyna daleko odemnie piękniejsze; i co jeszcze? umieją wszystkie dodać sobie wdzięków, a ja tej sztuki bynajmniej nie znam; królewicz mówi, że w tem mój wdzięk największy; jednak mnie się wydaje, -że mój rumieniec gaśnie przy ich licach. Osobliwie na balu posła francuskiego krajczyna była zachwycająca i królewicz tańcował z nią dwa razy. Niepodobna, żeby oczu nie miał; a wreszcie czegóż ja to pragnę? dawniej jedynem życzeniem było widzieć go; potem życzyłam sobie od niego być widzianą i ukłonić mu się; nareszcie zaczęło mi się zachciewać, żeby mnie pochwalił; wszystko to się stało, a ja nie przestaję na tem i zdaje się, jakbym czegoś więcej oczekiwać śmiała. Dobrze to ktoś powiedział; życzenia człowieka granic nie mają.

Dnia 19 stycznia, w niedzielę.

Już też spodziewam się, że teraz powinnam być kontentą; we czwartek na balu u księcia wojewody ruskiego królewicz ze mną tylko tańcował, w piątek był znów tylko z wizytą, wczoraj przysłał nam przez swego adjutanta inwitacyę na nową operę włoską „Semiramidę,“ którą wystawiono w teatrze dworskim. Tam królewicz mną jedynie był zajęty, tam prezentowaną byłam królowi, który bardzo dla mnie był łaskaw; pytał się o oboje państwo, szczególniej o Jmć dobrodziejkę, a przed godziną przyjechał tu pan starosta z oświadczeniem, iż królewicz chce koniecznie trzymać sam maleńką Anielkę i to ze mną. Ze mną, broń Boże z kim innym, taka wyraźna jego wola. Ja z królewiczem w jednej parze?... a trzeba wiedzieć, że Chrzest będzie paradny, w kościele kolegiaty królewskiej. Miało być więcej par w kumy wezwanych, ale przez uszanowanie dla królewicza jemu tylko zostawiono ten zaszczyt, inni będą świadkami i w tym celu zaproszą wiele znakomitych osób; cała Warszawa o tych chrzcinach mówić będzie, zapewne i „Kuryer Polski“ tak wielką nowinę umieści. Co też tam *Madame Strumle* i panny z pensyi na to powiedzą? co państwo? co wszyscy w Maleszowskim zamku? co *Macieńko* poczciwy? on gotów utrzymywać, że to skutek wróżb jego. Oj! ten *Macieńko!* jak on mi często ze swemi słówkami na myśli staje; on tych wszystkich niespokojności moich jest przyczyną; bo gdyby nie on, nigdyby mi żadne niedorzeczne myśli nie postały w głowie; kiedy ja też ledwie

parę minut z tych chrzcin nawet uradowaną byłam, księżna powiedziała, nie wiem zkąd i dlaczego, że kumostwo do małżeństwa jest przeszkodą i ja na te słowa zadrżałam... Rzecz niepojęta! co się to w tej głowie roi! co się w tem sercu dzieje! ta nieustanna wątpliwość, to nieustanne przechodzenie z radości do jakiejś obawy, nieznośne. Czasem wysokich nadziei, wesołych myśli natłok i w jednej chwili jakby kto uciął, smutek i niesmak umysł zajmuje. Ale co mnie cieszy, obaczę przecież kochaną siostrę choć na chwilę; po chrzcinach pojedziemy do niej, już wstała, zdrowiuteńka, ale jeszcze nie tak prędko wyjeżdżać będzie.

Dnia 15 stycznia, we środę.

Wczoraj odprawiły się zapowiedziane chrzciny; widziałam Basię; jaka też śliczna! wybielała, zeszczupiała, a zawsze dobra jak anioł i szczęśliwa, jak gdyby królowa jaka. Chociaż królewicz prosił bardzo, żeby jej córeczce moje imię dano, Basia oparła się temu, bo komuż, jeśli nie matce, pierwszeństwo się należy; skłonił ją przynajmniej do obietnicy, że gdy drugą córkę mieć będzie, Franciszką ją nazwie, przyrzekła, a tymczasem tę ochrzcił ksiądz Szembek *Anielą*; ładna dziewczynka, ale niezmiernie czerwona, podczas całej ceremonii bardzo krzyczała, znać, że się wychowa; daj Boże! bo już ją kocham serdecznie. Nie wiedziałam, jak sobie dać z nią radę, pierwszy raz w życiu dziecko trzymałam, aż mi królewicz pomagać musiał, tak mi ręce mdlały. Jaki on też dobry! Jak mi dziwno było stać razem z nim przed oł-

tarzem, w przytomności tylu osób, w wielkiej księdze obok jego imienia swoje położyć; otóż to zapewne do tej osobliwości ściągały się wróżby *Macieńka!* wszyscy mi tego honoru bardzo winszują; królewicz od tego czasu nierównie grzeczniejszy, nieco poufalszy; nie nazywa mnie inaczej tylko *piękną kumą swoją*, a maleńka, to *nasza Anielka.* I pani starościnie i mnie piękne podawał podarunki, kobiecie podającej dziecko, otaczającym ją dworzanom i ubogim sypnął po królewsku, a panu staroście obiecał wyrobić u króla kasztelanię radomską. Ja tyle świadczyć nie mogę, choćbym z duszy rada, ale i moje krzyżmo dla Anielki, biała sukieneczka haftowana, nie jedną mnie godzinę kosztowała; w tak krótkim czasie trzeba ją było wykończyć; i królewicz pochwalił tę robotę; później i czapeczkę jej zrobię w same robótki; czasem jak pomyślę o tylu zaszczytach i honorach, zdaje mi się, że to wszystko snem tylko... Ale zapominam o bardzo ważnej okoliczności: Od kilku czasów przedmiotem rozmów wszystkim w wysokiem towarzystwie Warszawy są łowy, które książę Hieronim Radziwiłł, chorąży wojska litewskiego, gotuje dla ucieszenia króla i królewicza. Tysiące, krocie łoży, żeby z czemś paradnem wystąpić, zwierza dzikiego z głębi Litwy niemal o sto mil sprowadza, i to polowanie ma już być jutro. Czas piękny, mroźno, sanna wyborna, królewicz koniecznie radby swoją kumę powiózł, i tak się stanie. Cztery piękności warszawskie (bo do trzech dawnych już mnie jako czwartą liczą) w jednych saniach pojadą, a królewicz końmi kierować będzie. Wszystkie cztery będziemy miały jednego kroju ubiór, ale każda in-

nego koloru; jam sobie obrała amarantowy, krajczyna niebieski, księżna zielony, starościanka bronzowy. Będziemy miały szuby aksamitne, do stanu zrobione, z sobolami, i takież same kołpaczki. Szkoda, że Basia tego wszystkiego widzieć nie będzie, ale ona taka ze swojej Anielki szczęśliwa, że już niczego więcej nie żąda.

Dnia 17 stycznia, w piątek.

Jak żyję na tym świecie, nic podobnego nie widziałam i już podobno nie zobaczę; jakże te łowy były wspaniałe! Wyjechaliśmy o godzinie dziewiątej z rana; aniby nikt zliczył mnóstwa sań i koni, nasze jednak były najpiękniejsze i zaraz za królewskiemi jechały. Królewicz w myśliwskim stroju, zielonym, aksamitnym, nadzwyczaj pięknie wyglądał; pojechaliśmy daleko za kościół Ś-to krzyski; tam między Szulcem i Ujazdowem, sunąwszy się z góry, na której leży cała Warszawa, jest równe pole [1]) zwykle zbożem zasiewane; to pole książę Radziwiłł ogrodzić kazał i to ogrodzeniem prześlicznem, z herbami i napisami; wpośród tego pola wystawiono zieloną altanę [2]) żelazną, na wszystkie strony otwartą, rogatkami żelaznemi przeciw dzikiemu zwierzowi obronioną, wewnątrz, jak na dole, tak w górze zielonym aksamitem była wybita, a dno przedniemi krzyżakami wysłane; tam wszedł król z królewiczem; dla przedniej-

---

[1]) Dziś Łazienki.

[2]) Tę altanę przed kilką laty widzieć było można w Łazienkowskim lasku.

szych panów było miejsce koło altany, niedźwiedziami zasłane, a dla dam i reszty panów amfiteatr z obu stron ogrodzony; cały był pełny, przyległe góry zupełnie okryte ciekawym ludem. Tem piękniejszy był widok, iż zostawiwszy plac wolny koło altany, dalej wysadzono drzewami ulic kilkanaście; wysokie sosny wizerunek prawdziwego lasu przedstawiały... Ledwieśmy przyjechali i zasiedli miejsca swoje, kiedy za danym znakiem z rogów i trąb myśliwskich, z miejsc, gdzie zwierza trzymali strzelcy księcia Radziwiłła, puszczono ośm łosiów, trzy niedźwiedzie, wilków dwadzieścia pięć, dzików dwadzieścia trzy; psy wyuczone, przez knieje napędzały zwierza przed altanę; ani podobieństwo opisać tego ryku, tej psów i dzikiego zwierza zajadłości, krzyku niewiast, tej całej wrzawy; król, strzelając z altany, sam ubił trzy dziki; pod wystrzałami królewicza padło kilkanaście zwierza, a niedźwiedzia jednego wziął na oszczep, co jest rzadkiej siły i zręczności dowodem; skórę jego będę miała pod nogi. Przeciągnęła się ta zabawa aż do czwartej po południu; rozdawano mięsiwa, ciasta i różne rozgrzewające napoje; strzelców i strażników księcia Radziwiłła było 74, w barwę jego suto przybranych, ze strzelbą i z dzidami. Prawdziwie każdy z łatwością mógł poznać, że bogaty i wspaniały książę królowi swemu ucztę i zabawę wyprawia. Bardzo wiele wierszy łacińskich i polskich napisano na to polowanie; te mi się najlepsze zdawały:

Tu, gdzie klęski licznego zwierza i zawody,
Niedawno się pierzchliwe śmiele pasły trzody,
Tu, gdzie gaj zielonemi cień podaje drzewy,
Niedawno się w kształt fali bujne chwiały siewy.

Sławo! któraś Rzymianów widoki wielbiła,
Te nam widzieć przewaga daje Radziwiłła,
Czy spojrzysz na Patrzące, na zwierze, na lasy,
Nic wspanialszego dawne nie widziały czasy.
Czem sławne były gmachy i gonitwy w Rzymie,
Toś zniósł wszystkie na ten plac, wielki Hieronimie!

Wigilię rocznicy koronacyi królewskiej tak suto obchodził książę Radziwiłł; z tej okazyi będzie i dziś bal u Marszałka Bielińskiego, proszonam na niego.

Dnia 19 stycznia, w niedzielę.

Bal był wspaniały. Królewicz wesoły, szczęśliwy, bo król go w tym dniu udarował kosztowną gwiazdą orderową z samych brylantów. Wieczerza była suta, tem szczególniejsza, że, jako w piątek, ani kawałka mięsiwa nie dano. Ja bardzo wiele tańcowałam, serdecznie też nogi mnie bolą, żal mi jednak, żem się z tem wymówiła, bo już mam zapowiedziane dziesięć dni siedzenia w domu i odpoczynku. Księżna się boi, żeby mi nie zaszkodziły te nieustanne tańce i niewczasy; jakoż w samej rzeczy zbladły cokolwiek moje rumieńce. Mieliśmy listy z Maleszowej; Jmć dobrodziejka sama pisać do mnie raczyła; bardzo mi zaleca, ażebym zdrowie ochraniała, a nadewszystko, żebym troskliwą była o moją sławę i szczęście, żadnej się nie dopuściła płochości i wiary zupełnej nie dawała pochlebnym słowom, które się o moje uszy obiją. Jmć dobrodziejka mówi, iż często nie piękność prawdziwa, ale jakieś uprzedzenie sprawia, że pannę za piękną okrzyczą; że bardzo często ztąd wypływa nieszczęście, bo zawróci jej się

głowa, gdzieś wysoko swoje widoki zamierzy i najczęściej osiada na koszu. Mam w Panu Bogu nadzieję, iż ze mną tak nie będzie; choćbym nawet zbyt wysoko moje widoki zwróciła i nie udały się, niktby tego po mnie nie poznał. Jednak do łez mnie rozrzewnił list Jmć dobrodziejki, noszę go zawsze w kieszeni i często odczytuję; dobrze to Pan Bóg zrobił, że słowa matki albo ojca tak prosto do serca trafiają; szczęśliwa młoda panna, która rodzicielskiego nie opuszcza domu; pomimo wszystkich sukcesów moich, bardzo często Maleszowskiego zamku żałuję.

Dnia 29 stycznia, w środę.

Skończyło się przecież dziesięć dni rekolekcyj moich, przez ten czas cztery były bale; jeden z nich maskowy, gdzie w kadrylu szkockim ja z trzema pięknościami figurować miałam; zastąpiła mnie wojewodzina Małachowska, a ja przez te dnie nogą nie ruszyłam, bo, pomimo próśb usilnych królewicza i Bóg wie nie czyich, księżna przebłagać się nie dała· jak raz co powie, nie zwykła odmieniać zdania. Żal mi było trochę tych balów, szczególniej maskowego, ale nikt tego po mnie się nie domyślił, bo to wstyd, słuszną panną będąc, dziecinne okazywać żale; wreszcie królewicz tak często bywał i tę moję stałość i męztwo tak wysoko cenił, iż nie mogłam być smutną. Od czasu chrzcin znika codzień bardziej ten wielki przedział, który syna króla, księcia udzielnego, przyszłego może następcę tronu, od starościanki Krasińskiej dzielił; coraz mniej między nami etykiety; królewicz chce być za równego miany; jaka to nie-

pojęta dobroć! Nad wyraz też mile godziny w jego towarzystwie schodzą; mówi nam o Petersburgu, o Wiedniu, gdzie także czas jakiś gościł, opisuje poczciwych Kurlandczyków, a zawsze choćby dwadzieścia było osób, umie wsunąć słówko jakie pochlebne, którego znaczenia podobno nikt nie zgaduje, tylko ja jedna. Jak on zna dobrze, co się w nieszczęsnej Rzeczypospolitej dzieje; jedynie przez uszanowanie dla ojca nie śmie mówić wyraźnie. O Boże! wielki Boże! żeby on też został królem! Księżna powiada, że ztąd pochodzą wszystkie jego nadzwyczajne grzeczności, iż sobie zawczasu partyę chce robić i że gdyby kiedy był królem, możeby na nas i nie spojrzał. O! co temu wcale nie wierzę. Już to ja dobrze widzę, iż księżna mu nie sprzyja; wszystko mi się zdaje, że ona Lubomirskiego chciałaby widzieć królem. Wątpię, żeby się spełniły jej życzenia. Dziś jest wieczorna zabawa u panien Kanoniczek, tam będę; bardzo dom przyjemny i uczęszczany; ksieni, panna Komorowska, prawdziwie godna i szanowna białogłowa. Właśnie wczoraj przy stole mówiono wiele o Kanoniczkach. Z Zachorowskich ordynatowa Zamojska, bardzo dobroczynna i światła dama, ufundowała to Zgromadzonie i przepisała mu prawa na podobieństwo takiejże dam świeckich kapituły, w mieście Rimeremont w Lotaryngii będącej. Mówią, że jej powodem do tej fundacyi była litość nad młodą panną, która ze wstrętem, z rozpaczą prawie szła za mąż jedynie dlarego, iż sierotą zostawszy, nie czując w sobie żadnego do życia klasztornego powołania, a dla wysokiego rodu iść w służbę nie mogąc, nie miała gdzie się umieścić. Chcąc dla

podobnie opuszczonych i równie zacnie urodzonych dam z narodu polskiego przytułek otworzyć, gdzieby z chwałą Boga, z honorem swoim i domów swoich chrześciańskie życie prowadzić mogły, nie obowiązując się do klauzury zakonnej, ani do przystojnego małżeństwa drogi sobie nie zawierając, ordynatowa Zamojska ten zakład uczyniła. Kupiła Marywil, wielką budowę na ulicy Senatorskiej bądącą. Założoną przez Maryę-Kazimierę Sobieską kaplicę, którą na pamiątkę zwycięztwa pod Wiedniem stawiać zaczęto, dokończyła, część pałacu przerobiwszy na mieszkania dla Kanoniczek, a dochód z wynajęcia reszty im oddała. Składa się to Zgromadzenie z dwunastu dam; jedna ksieni, jedenaście Kanoniczek. Ażeby panna była tam przyjętą, powinna mieć lat 15, być nietylko z urodzenia szlacheckiego, ale dowieść 3-go pokolenia z ojców i z matek. Jest jeszcze w tem Zgromadzeniu 8 panien, które chór niższy składają; i te powinny być szlachcianki; one czynią posługi domowe i doglądają służebnych. Dziadek nawet kościelny powinien być szlachcicem ubogim. Już prawdziwie szlachecki zakład.

Dnia 19 lutego, we Wstępną środę.

A Boguż dzięki! już po zapustach! Widzę, że i zabawy naprzykrzyć się mogą, nie wiem, czybym zrachować potrafiła, na wielu byłam balach przez te trzy tygodnie, a tak mnie zmęczyły, że już nic robić mi się nie chciało, a raczej na nic czasu znaleźć nie mogłam, bo mnie zajmowały stroje, wizyty, asamble i inne gale. Życie takie zrazu przyjemnem się zda-

je, ale jakiś niesmak wewnętrzny zostawia; nie pamiętam, żebym kiedy tyle chwil smutnych, tyle godzin nudnych spędziła, a tymczasem tyle osób mnie ma za najszczęśliwszą, tyle mi zazdrości. Podobno to Basia tego mi narobiła, już od dwóch tygodni bywam u niej dosyć często, ona się lęka o mnie; sama tak szczęśliwa, iżby koniecznie rada, żeby mój los podobnym był do jej losu, a to bodaj już rzecz niepodobna; trwogę i niespokojność swoją w moje serce przelała i ja coś przemyśliwać zaczynam... Jak też krajczyna Potocka piękną była na wczorajszym balu maskowym... Ubrana za sułtankę, zdawało się, że panuje nad innemi białogłowami. Wszyscy byli w zachwyceniu. Jak wiele tańcowała! Ja, prócz jednego poloneza, nie tańcowałam wcale, noga mnie zabolała, wielu mnie prosiło i królewicz zapraszał w końcu, alem już nie chciała. A Boguż dzięki, już po zapustach!

Dnia 29 lutego, w sobotę

Choć słów kilka naprędce; niespodzianie jadę na parę tygodni do Sulgostowa; wczoraj jeszcze o tem wzmianki nie było, chociaż państwo starostwo już tu byli z pożegnaniem; ale dziś rano przyszedł do mego pokoju książę wojewoda i powiedział, że niezmiernie o tę łaskę siostra i szwagier proszą, że tam może i państwo przyjadą, a zatem zobaczę się z niemi. Nawykła powodować się wolą księcia, który wiem, iż tylko dobra mojego pragnie, usłuchałam i jadę. Księżna także wyjazd mój pochwala; korci mnie tylko, że królewicz o niczem nie wie, a nie śmiałam zalę-

cić nikomu, ażeby mu nieznacznie o tem wspomniał... Księżnaby to najlepiej potrafiła, ale cóż, kiedy tak jej się boję!... Może on też nie bardzo moim odjazdem się zmartwi, może i uważać go nie będzie... tyle pięknych białogłów w Warszawie... Krajczyna nigdzie nie jedzie... Ale już na mnie wołają, trzeba się pakować.

Dnia 15 marca, w niedzielę.

Od dwóch dni jestem napowrót w Warszawie; nie wiem, jakim cudem dziennik mój, który, zdaje mi się, żem włożyła do sepecika, został tu w kantorku i w Sulgostowie nic pisać nie mogłam. Blizko trzy tygodnie tam bawiłam, zdało mi się, że dłużej; państwa nie widziałam, dopiero za cztery dni zjadą do starostwa, a książę wojewoda sam po mnie przyjechał i pół dnia czekać nie chciał; rozstawionemi końmi w dniu jednym przylecieliśmy tu. Królewicz był zaraz nazajutrz, uważałam, że zmieniony, zdaje się, że słaby; dał mi do zrozumienia, iż wyjazd mój nagły bez pożegnania tak go zmartwił; powiedział mi z goryczą, iż więcej względów mieć należy dla kuma, dla przyjaciela... Przyjaciela? Królewicz przyjacielem moim! O! teraz żal mi, żem odjeżdżała... chociaż tego nieraz już i w Sulgostowie serdecznie żałowałam... Książę wojewoda mówi jednak, że bardzo dobrze się stało; przyznaję się, że często go nie rozumiem, ale słucham ślepo, bo sobie wystawiłam oddawna, iż on w układzie losu mojego wielką grać będzie rolę. Księżna łaskawie mnie przyjęła. W Sulgostowie najwięcej mi czasu zeszło na pieszczeniu się

z Anielką—która przedziwna dziewczynka—i na robocie. Już dawno jak obiecałam na pewną intencyę wyhaftować poduszkę dla Pana Jezusa do Fary; u Basi — co tak się zwać pozwala — znalazłam wszystko, co mi było do tego potrzeba, i tak pracowałam pilnie, że skończyłam. To były najmilsze moje momenta; zdawało mi się, że każdy ścieg przyspiesza spełnienie tajemnych życzeń, których tu i wypisać nie śmiem... W Sulgostowie obchodzono suto rocznicę wesela Basi, dużo się gości zjechało. Co to odmian w tym roku? Najwięcej ich w sobie samej spostrzegłam; i co dziwnego? Rok temu nierównie byłam weselsza, a przecież nie chciałabym może być tak, jak wtenczas, nie chciałabym do tej nic nieznaczącej swobody powracać Jednak wtedy daleko byłam szczęśliwszą, bo byłam nią ciągle i zawsze, a teraz tak krótkie szczęścia, takie długie niespokojności, obawy i niesmaku chwile.

Dnia 19 marca, we czwartek

Królewicz wczoraj tyle był wesół i przyjemny, jak w początkach poznania się naszego, a ja oddawna równie miłego dnia nie pamiętam. Był naprzód zrana, ale tylko na godzinę, bo z królem wybierał się na polowanie do puszczy Kampinowskiej; wieczorem zaś, gdyśmy się go ani spodziewali, przybiegł, ja myślę, że piechotą, bo sam, bez żadnego hałasu. Polowanie bardzo się udało i przedziwne było zdarzenie. Kampinowska puszcza graniczy z lasami jakiegoś Zaborowa, dziedzic jego ma być szlachcicem wcale do rzeczy; ten, mając już kilka razy króla na gruncie

swoim i zawsze częstując go suto w altanie umyślnie na to wystawionej przy drodze [1]), przymawiał się już kilka razy o jakąś nagrodę. Król mu starostwo obiecał, ale pod warunkiem, żeby niedźwiedzia zabił w jego lesie. Już kilka ubito, a król obietnicy zapomniał; nareszcie dziś, w oczach króla, szlachcic sam zabił ogromnego niedźwiedzia; nie tracąc i chwili, przyciągnął zwierza pod nogi jego i powiedział:

— Najjaśniejszy Panie! *Ursus est, privilegium non est.*—Niedźwiedź jest, a przywileju niema.

Król się rozśmiał serdecznie i święcie starostwo przyrzekł. Przeszło dwie godziny bawił królewicz; teraz nieco jest wolniejszy, może niekiedy wymknąć się z pokojów królewskich, bo dwaj jego bracia, Albrycht i Klemens, są teraz w Warszawie. Królewicz Klemens dziwnie ma być dobry i nabożny; do stanu duchownego ma powołanie i zapewne księdzem będzie. Słuszna rzecz ze strony króla, iż kilku mając synów, jednego na służbę Boską poświęci. Dobrze jednak, że ta kolej nie na królewicza Karola przypadła.

Dnia 24 marca, we wtorek.

Chociaż to w post, bardzo mi wesoło dnie od mego powrotu ze wsi schodzą. Królewicz, jak tylko może, wyrywa się z pałacu królewskiego i do nas przybiega; mówi zawsze, iż mu cięży bardzo ta dworska etykieta, ale już od dnia jutrzejszego ustaną zabawy nasze. Księżna ma parę pokoików ciągle dla

---

[1]) Miejsce, gdzie była ta altana, jeszcze jest widoczne.

siebie gotowych u Panien Sakramentek i tam co rok przed Wielkanocą na ośm dni się zamyka, dla przygotowania się dostatecznego do spowiedzi; wszystkie pobożniejsze panie tak robią i ja, naturalnie, księżnie towarzyszyć będę. Przez ośm dni będziemy tylko widzieć księży, czytać książki nabożne, robić sprzęty do kościoła, albo coś dla ubogich.

Dnia 2 kwietnia, w Wielki Czwartek.

Już nasze rekolekcye odbyte, spowiedź Wielkanocna odprawiona i nie pamiętam dawno, ażebym tak swobodnej myśli była. Wielkieć to i nieocenione dobro w zgodzie być z sobą i z Bogiem! O! jak miłe, jak słodkie, jak poważne obrzędy wiary naszej, jakie szczęście wychowanym być w ich pełnieniu! Wybornego miałam spowiednika, księdza Bodue; jest on modny, bo Francuz, ale i bez mody zawsze byłby przewodnikiem duchownym z mego wyboru, gdyż prawdziwie święty człowiek, a w takim z łatwością uznać Namiestnika Boga; takiego rad skwapliwie się słucha! Niemało godzin zeszło mi na osobnych z nim rozmowach. Jak też trafić umiał do serca mojego, jaką skruchą go przejął, jak wchodził w moje położenie, jak zbijał próżność, miłość własną! Jak mnie potrafił przeświadczyć o marnościach rzeczy ludzkich, o niebezpieczeństwach świata, o słodyczy życia poświęconego Bogu... Doprawdy, było kilka momentów, w których miałam ochotę szarą siostrą w jego szpitalu zostać Już nad tem nie żartem dumałam, przechadzając się żywym krokiem po izdebce mojej; cze-

muż w ten moment weszła pokojowa i o strzelcu królewicza coś mówić zaczęła; rozerwała świątobliwe myśli moje i już ich potem uchwycić nie mogłam.... Jednak sam ksiądz Bodue mówił mi nieraz, że i żyjąc w świecie, zbawionym być można, byle w niczem cnocie nie uchybić, i że taka świętość jeszcze więcej ma zasługi, bo trudniejsza; dlaczegóż nie mam odważyć się na trudniejszy zawód, kiedy czuję w sobie dostateczne siły Już ja nic podłego, nic niegodnego Krasińskich imienia nie zrobię; jeśli grzeszę, to nie tem, że nizko, ale prędzej tem, że wysoko patrzę. Ksiądz Bodue i tego nie gani. Powiada on, że nie szkodzi dążyć do wysokiego szczytu, byle iść do niego drogą cnoty, byle nad nim widzieć zawsze Boga i być gotową bez szemrania wrócić na dół, gdyby taka była wola Jego. W takim ja też stanie zupełnie zostaję i doprawdy, tak jestem dziś lekka, swobodna, tak mi oddychać łatwo, iż mi żal, że ten tydzień już minął, lubośmy nikogo a nikogo przez ten czas nie widziały; dziś to wszystkich zobaczę. Będziemy w zamku na zwykłych Wielkoczwartkowych ceremoniach; bardzom ich ciekawa.

Dnia 10 kwietnia, w piątek.

I Wielki tydzień i Wielkanocne święta minęły. Nie mogę mówić, żeby te dnie były bez przyjemności; owszem, miałam wiele chwil szczęśliwych, ale ta spokojność umysłu i serca, ta już gdzieś uleciała... już się też i nagrzeszyło niemało. Ten biedny człowiek, taki słaby i ułomny, pomimo najstalszych przedsięwzięć i zamiarów, za najmniejszą okazyą do

dawnego się powraca. Naprzykład, czy to rzecz słychana, w Wielki Czwartek nazajutrz po spowiedzi i komunii dałam się unieść próżności; doprawdy, że czasem gniewa mnie ta uroda. Gdym tego dnia ubierać się miała w żałobę, jak zwykle w tej porze, weszła do mego pokoju księżna, za nią jej panny służebne i przyniosły mi ubiór przepyszny, zupełnie biały; suknia atłasowa z wielkim ogonem, wieniec z róż białych na głowę, takiż bukiet do boku i długi blondynowy welum; zdziwienie moje księżna zaspokoiła, mówiąc, że jest taki zwyczaj u dworu, iż w Wielki Czwartek po skończonem nabożeńswie w kaplicy pałacowej, król i wszyscy schodzą się do wielkiej sali, w której już zastają przy nakrytym stole dwunastu starców. Król umywa im nogi, naśladując pokorę Zbawiciela naszego, usługuje gdy jedzą, a podczas tej ceremonii jedna ze znakomitych pierwszego towarzystwa panien, biało i pięknie ubrana, chodzi do obecnych panów z tacą i prosi o dar jaki dla ubogich.

Król sam zawsze tę pannę wyznacza i na ten raz mnie *kwestarką* mianować raczył; zebrane zaś pieniądze zawczasu księdzu Bodue na szpital jego, już na dokończeniu będący, przeznaczył.

Ucieszyłam się niezmiernie tą wieścią, ale cóż, wcale nie w tej myśli, że przyłożę się do tak miłosiernego uczynku, lecz, że się nie pokażę światu w żałobie, w której mi nie do twarzy, że w gronie tylu dam ja jedna pięknie i biało ubrana będę, a zatem najpiękniejsza. Nie byłaž to próżność niesłychana, zwłaszcza w dzień taki?... Lżej mi na sercu, że ten błąd tu wypisalam.

Kwesta udała się jak najpomyślniej, do czterech tysięcy dukatów zebrałam; sam książę Karol Radziwił, mówiąc do mnie: — Panie kochanku! trzebaż co dać tak pięknej damie! — sypnął odrazu pięćset sztuk złota, aż się taca ugięła. Z początku byłam nieśmiała, nogi mi drżały przy nizkim ukłonie, który przed każdym uczynić wypadało; ale potem ośmieliłam się i dopieroż w ten dzień przydały mi się metra od tańca nauki.

Marszałek dworu oprowadzał mnie, wymieniał każdego z panów i prosił za mnie, bo już co mówić, tobym nie potrafiła; a kiedy taca zdawała się zbyt ciężką, wypróżniał ją w osobny worek.

Nasłuchałam się komplementów co niemiara. Królewicz mi powiedział, że szczęście wielkie, że pieniądze, a nie serca zbierałam, bo każdy musiałby oddać mi swoje, a ja mu na to;

— Nie prosiłabym nigdy o rzecz taką, bo któżby dbał o uproszone serce.

Spodobała mu się ta moja otwartość; dziwię się jednak, jak mógł sądzić, żebym ja inaczej myśleć mogła? Niewieście prosić kogo o serce? choćby króla samego, uważałabym za podłość! Przyjąć, kiedy się przyjąć godzi, to co innego... Ale, gdzie się myśli moje zapędzają, wcale o czem innem pisać wypada.

Ceremonia umywania nóg dziwnie mi się podobała. Ten król, schylony u nóg ubogich starców, stojący potem za ich stołkami, jeszcze mi dotąd tkwi w pamięci, a do tego nasz August III, choć już nie młody, bardzo piękny, poważny i wszystko mu przystoi. Królewicz Karol zupełnie się wdał w ojca,

W Wielki Piątek obchodziłyśmy groby w grubej żałobie. Byłyśmy w siedmiu kościołach, w każdym odmawiając po pięć pacierzy; u Fary klęczałam godzinę całą przy Grobie Pańskim.

Rezurekcya była paradna w wielką Sobotę wieczorem, muzyka dworska prześliczna. Święcone było u nas okazałe i do wczorajszego dnia ciągle zastawiano stoły ciastami i mięsiwem.

Ktoby mi też powiedział rok temu, kiedy właśnie, jako w trzeci dzień mojego przybycia na pensyę, smutnie u *madame Strumle* nad skromnem święconem dumałam, że ja w ten poniedziałek świąteczny z królewiczem dzielić się będę, a był u nas dnia tego, jedliśmy z jednego talerza. Jak mi też smakuje mięso po tych czterdziestu dniach postu; w Wielki tydzień tak tu, jak w Maleszowej, jedliśmy z olejem, a w Wielki Piątek suszyliśmy zupełnie. I królewicz pościł; zdaje mi się też, że nieco zmizerniał. Właśnie wczoraj z niespokojnością wpatrywałam się w niego, myślałam, że na to nie uważał, bo rozmawiał z księciem, a on mi potem za tę niespokojność dziękował. Zawstydziłam się; jak też to młodej pannie baczną być trzeba; niedość jej w słowach być ostrożną, jeszcze i oczu pilnować musi. Proszę, na co się przydać mogą w takim razie guwernantki? Dobrze księżna mówi, że panny, która siebie nie strzeże, i dziesięć guwarnantek upilnować nie potrafii.

Dnia 15 kwietnia, w środę.

Jutro wyjeżdżamy z Warszawy; księstwo jadą do dóbr swoich do Opola i ja z niemi. Był list od

Jmość dobrodzieja do księżnej, w którym zezwala na to, abym bawiła u niej, póki się jej nie naprzykrzę i sama mnie nie wypędzi. Spodziewam się, że to nie nastąpi, bo staram się jej przypodobać, jak tylko mogę i umiem. Księżna wzbudza we mnie szczególne jakieś uszanowanie i bojaźń; wolałabym nie wiem co zrobić, jak ją obrazić, a kiedy na mnie łaskawie spojrzy i widzę, że ze mnie kontenta, to jakby mi się niebo otwierało. Jeśli kiedy sędziwych lat doczekam, chciałabym mieć tę wspaniałość; sam królewicz jej się boi. Nie wiem, jak to wytłómaczyć, alem kontenta z tego, że do Maleszowej nie jadę. Nabiła mi się głowa tą myślą, że tam wracać nie powinnam taką samą, jak wyjechałam; a gdybym teraz wróciła, żadnejby odmiany nie było. Żadnej? Ach! jest i wielka!... Ale cóż z niej?... Nie sposób jednak, żeby rzeczy w tym stanie długo zostały; musi koniecznie nastąpić jakaś stanowcza zmiana; pomyślna mnie już nie nie zdziwi, przeciwną znieść potrafię, bom szlachetnie urodzona, bom chrześcianka. Ale jakie ja tu kreślę zagadki! Gdyby też komu dostał się ten dziennik w rękę, myślałby, żem niespełna rozumu, a ja właśnie dla tej obawy tak niewyraźnie piszę. Ja, kiedy myślę o *nim*, to się boję, żeby kto myśli mojej nie usłyszał, a pisaćbym też miała? I to już zanadto, lepiej przestać i pod cztery zamki ten papier schować! Chwilka dłużej, a wydałaby się tajemnica.

Dnia 24 kwietnia, w piątek, w Opolu.

Blizko od tygodnia tu jesteśmy. Miejsce dosyć przyjemne, mnie jednak nie bardzo wesoło, bo mi się

też nic nie darzy. Drzewa powinnyby się już zielenić, a jeszcze zupełnie czarne; powinnoby być ciepło, a jest zimno; chciałam zacząć haftować, brak mi najpotrzebniejszych jedwabiów; chciałam grać, klawikord odstrojony, dopiero do Lublina poślą po organistę. Jest tu biblioteka dosyć znaczna, ale klucz od niej u samej księżnej, a boję się prosić o niego. Książę ma różne nowe książki francuskie, dzieła Woltera, najsławniejszego autora we Francyi; za kilkanaście tomików, przy mnie, dał sześć dukatów w złocie; księżna czytać mi ich nie pozwala. Co gorsza, przyszedł świeżo z Paryża romans, za którym wszyscy przepadają. *Nowa Heloiza*, przez jakiegoś Russa napisana; jużem go miała czytać. Ale cóż? Sam autor umieścił w przedmowie te słowa: „Żadna matka nie da tej książki córce swojej," i księżna zakazała mi ją surowo. Do tych wszystkich przeciwności cóż jeszcze zdarzyło mi się wczoraj? Księżnie doktorzy warszawscy kazali, gdy będzie na wsi, konno jeździć dla zdrowia. Ona śmiała się z nich, mówiąc, że tego nigdy nie uczyni, oni jednak obstawali przy swojem i książę kupił dla niej śliczną, powolną klaczkę, z wygodnem siodłem, przyprowadzili ją tu, księżna jednak jeździć nie chciała, ledwie ją namówili, żeby się przejeżdżała po ogrodzie, co od kilku dni codziennie czyni. Ale mnie, co się koni nie boję, przyszła niezmierna ochota jeżdżenia konno. Odezwałam się z nią wczoraj. Księżna mnie strofowała, zowiąc tę zabawę bardzo nieprzyzwoitą dla panny i pożegnać się z tym projektem musiałam; a jak też zawrócił mi głowę, jak już w myśli dokazywałam na tym koniu, jeździłam na polowanie i z kim jeszcze?...

Bardzo tu dworno i wiele osób zjeżdzało się jako do wojewody. Nie wiem dlaczego mnie to wszystko nie bawi. Widziałam i Michała Chronowskiego, owego niegdyś pokojowca naszego; zupełnie się odmienił. Książę za rekomendacyą Jmć dobrodzieja oddał go do palestry lubelskiej i on tam dobrze ma się kierować, ale wychudł, nachylił się, jakichś rumieńców dostał osobliwych i kilka fałd ma na twarzy. Ani razu od ślubu Basi nie tańczył. Już teraz nie mazury, nie krakowiaki, ale ex-dywizye, kondemnaty, kaduki ma na głowie; strasznie się nudny zrobił, bo nic nie można zrozumieć, co mówi.

Kto bywa w Opolu bardzo przyjemny i zabawny, to książę Marcin Lubomirski, brat stryjeczny księcia, ale znacznie młodszy; znałam go już w Warszawie. Księżna zawsze coś w nim do nagany znajdzie, mnie zaś on się niesłychanie podoba; ma tu niedaleko hrabstwo Janowieckie i bardzo nas do siebie zaprasza, może pojedziemy. Miło z nim rozmawiać, bardzo lubi zabawy, niezmiernie wesoły, wielki przyjaciel królewicza, jak go też chwali, to aż serce rośnie!

Dnia 1 maja, w piątek, w Janowcu.

Od dwóch dni bawimy w Janowcu i książę Marcin zawczasu oświadcza, że nas nie tak prędko puści. Piękniej tu nierównie, niż w Opolu, a równie dworno. Nie wiem, czy jest w świecie kto hojniejszy, weselszy i gościnniejszy od księcia Marcina. Pieniędzmi tak sypie i sieje, mówi księżna, jak gdyby się spodziewał, że mu wyrosną i że je zbierze. Co

on też teraz robi? Przez śliczny las, który ma niedaleko zamku, każe wycinać wielką perspektywę; z gabinetu, gdzie mieszkam i piszę, widzę właśnie w tej chwili, jak padają wspaniałe drzewa pod siekierami przynajmniej stu robotników; na jej końcu stawiają pałacyk, ale z takim pośpiechem, że się zdaje, że w oczach rośnie; z Warszawy i Bóg wie nie zkąd nasprowadzał majstrów, przepłaca ich, ale założył się z księciem wojewodą, że w przeciągu czterech tygodni pałacyk stanie i ja pewna jestem, że wygra. Cały ten las ma kazać ogrodzić i *zwierzyniec* w nim założy; okolica obfituje w dzikiego zwierza, ale on rozesłał ludzi swoich w dalekie strony, żeby mu i łosiów i niedźwiedzi sprowadzono. Wszystko mi się zdaje, że w stawianiu tego pałacyku i w zakładaniu tego zwierzyńca jest jakaś tajemnica, i raczej ją przeczuwam, niżeli zgaduję. Daleko mi weselej w Janowcu, prześliczne miejsca, zamek wspaniały na górze nad Wisłą, starożytny, bo jeszcze po Firlejach; widok ztąd na Kaźmierz, na Puławy ks. Czartoryskich bardzo przyjemny, sal i pokojów bez końca, malowania i sprzęty przepyszne. Ale podobno w całym zamku mój pokoik najmilszy jest w wysokiej wieży; zdaje mi się, żem jakąś romansową heroiną, od czasu, jak w nim mieszkam; są w nim okna na trzy strony, z każdego czarujący widok; w jednem najczęściej siedzę, bo mnie nad wszelki wyraz ta perspektywa i ten wzrastający pałacyk zajmuje. Na ścianach jest Olimp. *Wenery mu dotąd brakowało, teraz ją posiada*, powiedział grzecznie książę Marcin, gdy mnie tu wprowadził. Dziwnie mi było w tem oknie, w tym gabinecie; zdaje mi się,

jakby w Janowcu coś dobrego przytrafić mi się miało.

Dnia 3 maja, w niedzielę.

Nie wiem, czym kiedy w życiu tak rano wstała, dopiero trzecia bije na zamkowym zegarze, a ja już siedzę i piszę. Jeszcze nie było zupełnie widno, kiedym się snuła po długich tego zamku korytarzach, jak widmo jakie. Bo trzeba wiedzieć, że jest tu sala prześliczna i wielce szacowna. Książę Marcin, idąc za miłym i nauczającym przodków naszych obyczajem, którzy przechowywali starannie portrety znaczniejszych z familii osób i pamięć znakomitych ich czynów, umyślił wszystkie podobne zabytki Lubomirskich rodu w jednej zgromadzić sali. Sprowadził sobie z Włoch biegłego malarza, wezwał pomocy człowieka uczonego, który nietylko był wyćwiczony w dziejach rodu Lubomirskich, ale i w historyi narodu naszego, i po długich naradach ten zamiar wykonanym został, sześć lat temu 1756 roku, jak świadczy napis nad drzwiami. Szkoda tylko, jak mówi księżna, że nie olejno na płótnie, ale *al fresco* na ścianach, te wszystkie portrety i obrazy; już ich przenieść nie można, i przechować trudniej. Ale nie myśląc o przyszłości, teraz ta sala prześliczna; wczoraj po obiedzie książę Marcin, razem z księżną i księciem wojewodą tłómaczył i opowiadał mi wszystko, a jam sobie zaraz ułożyła, że to wszystko zapisać muszę. Wstałam więc przed słońcem, przyszłam na palcach do tej sali i kiedy wszyscy śpią jeszcze, nakreślę w tym dzienniku com słyszała i co widzę.

Naprzód na wszystkich rogach jest herb Lubomirskich, *Srzeniawa bez krzyża*, herb prawdziwie polski, nadany im podobno za zwycięztwo, które ich naddziad odniósł nad brzegiem Srzeniawy, rzeki wpadającej do Wisły, o siedem mil od Krakowa. Najpierwszy obraz—bo książę Marcin samej już tylko chciał prawdy — wystawia *trzech braci Lubomirskich*, młodych i dorodnych mężów, którzy w przytomności licznych świadków, w obliczu Sieciecha, wojewody krakowskiego, siedzącego na ławicy sądowej, dzielą się dziedzictwem po ojcu; i ten dział urzędownie uczyniony dwóch pisarzów wojewody na pergaminie kreśli. To ich pismo od r. 1088, od panowania Władysława I, syna Kazimierza Mnicha, przechowało się dotąd, i ponieważ jest najdawniejszem pismem urzędowem znanem w naszym kraju, którego powaga niezaprzeczona, książęta Lubomirscy bardzo się niem szczycą i mnie książę Marcin tłómaczenie jego z łaciny dał do przepisania. W tych jest słowach:

„My Sieciech, wojewoda krakowski, wódz wojska, wiadomo czynimy i oświadczamy komu o tem wiedzieć należy, wszem wobec i na przyszłe czasy uznawać to potrzebującym: że kiedyśmy na ławicy sądowej zasiadali, przed nasze i zasiadających z nami oblicze, przybyli znakomici rycerze herbu *Srzeniawa*: Joachim, Jacek i Przecław, Adryana, z Lubomira pana, chorążego krakowskiego synowie, zdrowi na ciele i na umyśle, i za poradą życzliwą przyjaciół uznali, jako oni dobra niżej wymienione prawem Boskiem i przyrodzonem ze spadku ojcowskiego na siebie przypadające, między siebie takim sposobem po-

dzielili, to jest: Joachim wziął miasto *Lubomir* z przyległościami i dom w Krakowie, w którym ojciec ich zwykł przemieszkiwać. Pan Jacek zaś *Lipie* z przyległościami i 93 grzywien pieniędzy, które Mikołaj z Morawicy ojcu ich winien; pan Przecław *Wieruszyce* podobnież z przyległościami i będą odtąd w następne czasy każdemu z nich wydzielone ich dziedzictwa i w nich każdy panem i dziedzicem razem z potomstwem swojem pozostanie, posiadać je będzie spokojnie, jak są oznaczone granicami swojemi; ani z nich który może mieć prawa do majątku drugiego, lecz na swej części pozostawać ma on i następcy jego. Do czego w naszej obecności ciż Joachim, Jacek i Przecław obowiązali się nawzajem."

„Dan w Krakowie, dniem przed Oczyszczeniem N. Maryi Panny, roku Pańskiego 1088. W przytomności tych świadków: Jana z Wielopola, stolnika krakowskiego, Spytka z Zakliczyna, Szymona z Gajów, Andrzeja z Żydowa dziedziców; Eustachego i Rudolfa, pisarzów naszych."

Po obrazie tego działu, następuje cały rząd portretów, mężów z rodu Lubomirskich, jedni byli sławni w boju, drudzy znakomici w radzie, przymioty Srzeniawczykom właściwe; dlatego też ich pominę. Ale któż jest ta białogłowa, którą pierwszą wystawioną w obrazie tu widzę? to *Zofia Zakonnica Norbertanka*; w szesnastym wieku żyjąca, wielką świątobliwością słynęła; leży już bez duszy na śmiertelnem łożu, a twarz jej nadobną jakaś jasność otacza; chorzy dotykają się jej ciała i są uzdrowieni. Obok niej portret wielkości naturalnej jej brata, *Mikołaja*

Kanonika; trzyma w ręku księgę otwartą, której tytuł: *Hymenus na weselu księżnej Ostrogskiej* 1589 r. Miał być uczony i wiersze pisał gładko. Piękny jest obraz pod nim będący; przed ołtaszem Matki Boskiej klęczy małżeństwo; już 13 lat żyje *Joachim* z żoną swoją *Zofią Staszkowną,* a jeszcze potomstwa nie mają, modlą się więc razem, święta Dziewica uśmiecha się do nich i są wysłuchani; w kilka czasów rodzi się syn *Aleksander.* Widzę tu na drugiej ścianie wizerunek jego w ubiorze rotmistrza pancernej chorągwi. Ale *Sebastyana,* który kupiwszy Wiśnicz, tytuł *hrabiego na Wiśniczu* dla siebie i dla potomstwa otrzymał, aż w dwóch widzę obrazach; raz otaczają go księża, sieroty, ubodzy, studenci, a on im wszystkim stosowne dary sypie; drugi raz w późnej starości, pięćset ludzi własnym kosztem uzbrojonych, co więcej dwóch synów swoich, wysyła pod chorągwie Zygmunta III. Jednego z tych synów, *Joachima,* młodzieńca dwudziestoletniego, spostrzegam nieco dalej, ale jakże zmieniony! ledwie siedzi o swej mocy, na obozowem łożu pod uchylonym namiotem; gorączka śmiertelna go trawi, już prawie kona, bratu schylonemu nad nim, szablą, którą z pracą unosi, wskazuje nieprzyjaciół zdaleka się snujących; twarz jego i to ruszenie malują boleść widoczną, że nie wśród nich, nie od żelaza umiera. Szczęśliwszy brat jego, *Stanisław,* to on, który może śmiercią *Joachima* poznawszy, jakie szczęście żyć dla ojczyzny i chwały, oddał się im zupełnie i tyle zasłużył, że gdy w czasie chocimskiej wyprawy wielki Chodkiewicz przeniósł się do wieczności, on hetmanem na jego miejscu ogłoszonym został; wystawił malarz tę

chwilę, kiedy mu Polacy z radością buławę oddają; sam królewicz Władysław ściska mu rękę i okazuje swem wejrzeniem, jaką ufność w nim pokłada; Litwini tylko niechętnie nań patrzą, a on, wskazując na czarnym kirem okryte zwłoki zeszłego hetmana, zdaje się mówić: *starać się będę jemu wyrównać*, i wyrównał, jak świadczą dzieje. Przy innej zabawie wystawiony jeden z trzech synów jego, *Aleksander*, wojewoda krakowski; stały i w nieszczęściu Jana Kazimierza przyjaciel; on długo, nie mając dzieci, ślub uczynił, a gdy mu się potomek urodził, dopełnia go; w kaplicy Matki Boskiej w Częstochowie odważa tyle złota, ile syn jego noworodny waży. Tego syna *Józefa*, marszałka koronnego, widzę tu, gdy do ślubu młodą oblubienicę prowadzi; wdowa po księciu Wiśniowieckim, siostrzenica króla Jana, księżniczka ostrogska i zasławska, wielki majątek i znakomite pokrewieństwo w dom Lubomirskich wniosła; znajduje się osobny jej portret, więcej była bogatą niż piękną. Ale raz jeszcze wystawił malarz *hetmana Lubomirskiego* w wieku sędziwym; siedzi na łożu, na którem już od 10 lat ciężka choroba go trzyma i ani radą, ani ręką ojczyznie służyć nie pozwala. Czując się blizkim śmierci, cały swój majątek równo między trzech synów rozdzielił; trzy tylko rzeczy zostawił nad podział: *namiot* wzięty Turkom pod Chocimem, *laskę* marszałkowską i *kamienicę* w rynku krakowskim; dwie pierwsze i rysunek trzeciej, leżą koło niego, on pokazuje otaczającym go synom i jakby mówi: *ten je dostanie, kto się ich godnością dokupi.* Wszyscy na nie patrzą chciwie, ale w wydatnej twarzy Jerzego coś więcej, niż w innych się maluje;

on też później te wszystkie trzy rzeczy odziedziczył; *laskę* jako *marszałek*, *namiot* jako *hetman*, kamienicę, jako *starosta krakowski*, a przez zasługi swoje w ojczyznie, nieustraszone męztwo, niezgiętą stałość odziedziczył i sławę. Potrafili go jednak zawistni poróżnić z Janem Kazimierzem; pomimo, iż on tyle razy w sprawie tego nieszczęśliwego króla życie i majątek łożył, wyzuto go z honorów; rozgniewany, zebrał wojsko swoje, uderzył na królewskich i rozsypał ich. Widzę go jednak po tej wygranej składającego szablę zwycięzką u nóg króla, który go z dobrocią przyjmuje. Obok tego obrazu jest portret drugiej żony Jerzego, *Barbary Tarłówney*; ona wniosła w dom Lubomirskich ten Janowiec, w którym dziś piszę; na pamiątkę tego niemal w każdym pokoju jest jej wizerunek. Ale więcej chluby białogłowom tego domu przyniosła córka Jerzego i pierwszej jego żony Ligęzianki, *Krystyna;* dwa razy ją też malarz wystawił; pierwszy obraz jest taki: Wpośród panien i dziewcząt służebnych, siedzących nad robotą, stoi dziecina nadobna; twarz jej, z przyrodzenia żywa i wesoła, przemijającą powleczona jest posępnością; po nóżkach widać, żeby chciały biegać, a tylko tupać mogą, bo dziecinę za jej psoty przywiązała do nogi stołowej poważna i sędziwa osoba, ciotka jej, księżna kanclerzyna Radziwiłłowa, i surowo na nią patrzy. Na drugim już co innego. Wyrosło żywe i niesforne dziewcze, a czytaniem ksiąg nabożnych, napomnieniami starszych zniewolona, klęczy sama w pokoju przed Matki Boskiej obrazem; zapał maluje się w jej pięknych oczach, z palca iglicą złotą przekłutego, zbiera krew piórem i takiem pismem poprawę i wieczną

służbę przyrzeka. Dotrzymała słowa; wydana za hetmana, Feliksa Potockiego, słynąca pięknością, wzorem była pobożności i cnót wszelkich; nie było nad nią zręczniejszej w robotach ręcznych, nie było bieglejszej w muzyce, a Bogu wszystkie te poświęcając zdolności, kościoły Jego zdobiła; o nim i Świętych Jego wiersze składała i śpiewała; dobrych jej uczynków ani wyliczyć można, klasztorów kilka założyła, a jej własny spowiednik życie jej szeroko napisał; mógł śmiało, bo same cnoty miał wyjawiać. Tak zacna siostra sławnego miała brata; jest obraz jego w naturalnej wielkości, a pod spodem *Katona i Salomona polskiego* przydomki. *Stanisław Lubomirski* zasłużył na nie tak obywatelstwem, miłością ojczyzny, jako też rzadką mądrością; widzę przed nim stos ksiąg wielki: na jednej *Przysłowia moralne*, na drugiej *Próżność i prawda*, na innych nabożne tytuły, a nad nim wznosi się sława, wieńczy go laurowym i dębowym liściem, wielbiąc w nim pisarza i obywatela. I drugi brat Krystyny, *Hieronim*, także jej godzien; towarzysz Jana III, z nim tu wystawiony, kiedy pod Wiedniem przyglądają się oba wziętej Turkom Mahometa chorągwi; chlubna radość jaśnieje w oczach Polaków, wstyd, boleść i jakby zdziwienie, że żyć jeszcze po takiej stracie można, wyrażają twarze kilku schylonych jeńców tureckich, opodal stojących. Ale szczególny obraz kończy ten zbiór szacowny — bo żyjących jeszcze książąt Lubomirskich późniejszy dopiero pędzel wystawi — oto wśród ogołoconego przez zimę lasu niedźwiedź rozjuszony toczy walkę z dorodnym hajdukiem; już zdaje się, że go ma pokonać, kiedy zastępuje z tyłu niedźwiedziowi

młoda jeszcze niewiasta w myśliwskim ubiorze i dwie krucice przykłada mu do uszów. Zdaleka widać konia przelęknionego, który z przewróconemi saneczkami pędem ucicka. Prosiłam o dokładne tego obrazu wytłómaczenie, bo mnie wielce zajął. Taka cała historya. Jedna księżna Lubomirska miała upodobanie w myśliwstwie; wyjechawszy raz na polowanie na niedźwiedzia, gdy wracała do domu jednokonnemi saneczkami z jednym tylko hajdukiem, rozjuszony przez strzelców niedźwiedź wypadł na nią; koń przelękniony saneczki wywrócił i uciekł z niemi; księżna i hajduk zostali wystawieni na zapalczywość dzikiego zwierza, ale wierny i odważny sługa, wymówiwszy tylko te słowa; „mościa księżno! pamiętaj o żonie mojej i dzieciach!“ rzuca się do niedźwiedzia, na dwóch łapach ku nim idącego, chce z nim walczyć i pastwą nawet jego zostać, byle pani czas do ucieczki miała. Odważna Polka, godna tego imienia i poświęcenia się sługi, opuszczać go nie chce, owszem, zajmuje się jego obroną. Dobywa parę krucic z za pasa, zachodzi z tyłu, przykłada je niedźwiedziowi do uszów i na miejscu zabija. Doprawdy, że jej tego czynu zazdroszczę... Niema, zdaje się, potrzeby dodać, że hajduk na całe życie z żoną i dziećmi dobrym bytem opatrzony został, mógł był nawet nie służyć, ale tak będąc przywiązanym, nie chciał pani swej odstąpić do śmierci. Ale już od chwil kilku słyszę hałas w zamku, już nawet słyszałam i głos księcia Marcina, jak ze swemi psami rozmawiał; kocha ich i pielęgnuje, jak dzieci, znany też jest w całej okolicy, jako najlepsze charty mający; zagorzały my-

śliwy; prawdziwy post dla niego czas teraźniejszy, w którym się najzapaleńsi od łowów wstrzymują. O! już potrzeba kończyć, już i koło tej sali chodzenie słyszę, już też piąta godzina.

Dnia 14 maja, w czwartek.

Jeździliśmy do Opola na dni kilka i znów nas książę Marcin do Janowca koniecznie sprowadził, żebyśmy świadkami byli ukończenia pałacyku; już z okien gabinetu mego zupełnie ukończonym się wydaje, bo wewnątrz tylko niedostaje mu niektórych rzeczy. Wygrał zakład książę Marcin i nie wiem, co się to ma znaczyć, ale już kilka razy mówił do mnie, że już co ten wydatek, to wcale nie był napróżno, jak mu wiele takowych wymawiają, gdyż sowitej spodziewa się nagrody za koszta w tym celu poniesione, a odbierze ją za moją przyczyną. Doprawdy, że i samej siebie i tego, co się koło mnie dziejc, pojąć często nie mogę.

Dnia 16 maja w sobotę.

A! już też prędzej śmierci mogłam się spodziewać, niż zdarzonego wczoraj szczęścia. Królewicz przyjechał, królewicz jest tu; ten pałacyk, ten zwierzyniec, wszystko to dla niego, a raczej dla mnie; bo już trudno taić się, on mnie kocha, on nie mógł dłużej znieść mojej bytności i książęta, chcąc mu się przypodobać, wynaleźli ten sposób zbliżenia go pozornie do przedmiotu tak niepojętego kochania. O Bo-

że! do czegóż to mnie przeznaczasz?... Szczęście, wielkie szczęście, że już było ciemno, jak przyjechał, byliby wszyscy obaczyli mój rumieniec, moje pomieszanie, byłby i on zbyteczną radość w oczach moich obaczył. Jeszcze go nigdy tak dla siebie czułym nie widziałam; co z tego będzie, na czem się ta miłość skończy?... Dotąd udawałam zawsze, że nie rozumiem rzeczy dwuznacznych, które mi mówił, starałam się pilnie ukrywać to, co czuję, ale czyż tak dłużej potrafię, osobliwie teraz, kiedy codzień w każdej chwili widywać go będę i to przez czas niemały, bo tu i królewicze bracia jego zjadą, wielkie będzie polowanie na zwierza, umyślnie na to sprowadzonego, a którego jeszcze nie zwieźli... Jakże utrudza i męczy ta nieustanna praca nad sobą, to ukrywanie uczuć, które gwałtem dobywają się z serca, ta niepewność przyszłości, ten dalszy los, który raz tak świetnym się wydaje, że się go aż lękać trzeba, drugi raz tak ponurym, że aż dreszcz przechodzi; ta bojaźń skryta, czy się nie błądzi, czy się źle nie czyni? wszystko to umysł w taki wprowadza odmęt, że rozpoznać myśli swoich nie zawsze można. Żebym przynajmniej komu zwierzyć się miała? Ale prędzej umrzeć, niż słowo podobne księżnie powiedzieć; ona już dziś kilka razy napomykała, że szaloną byłaby ta, któraby miłości królewicza dała wiarę i że jego żona będzie najnieszczęśliwsza; książę zdaje się, że zwierzenia mego unika; prawda, zawsze coś powie takiego, co mnie zachęci, w nadziejach utwierdzi, ale ufności mojej nie wzywa; zdaje się, że tyle polega na moim rozsądku i cnocie, iż mu się wydaje, że nie potrzebuję rady i sama najlepiej sobie poradzę; ani

wypuszczę z rąk szczęścia, które mi niebo podaje, ani też najmniejszej nie popełnię płochości. Bóg więc jedyna ucieczka moja; dziś prawie noc całą na modlitwie spędziłam. On mnie oświecić, poprowadzić raczy O! jaka szkoda, że tu księdza Bodue niema!

Dnia 18 maja, w wieczór.

Mamże wierzyć temu, co się stało? temu co się stanie? Ja, Franciszka Krasińska, nie żadna nawet księżniczka, ja będę żoną królewicza, księżną kurlandzką, a może kiedyś i czem więcej?... ja, tak od niego kochana, że dla mnie zapomina o ojcu, o nierówności stanów naszych, o wszystkiem. O Boże! mocny Boże! czy mi tylko się to wszystko nie śniło? Prawdaż to, żeśmy pojechali dziś wszyscy po obiedzie do zwierzyńca. Księżna, wchodząc na schody, źle stąpiła i zostać w pałacyku musiała z panną respektową, która zawsze i wszędzie z nami, a książęta, on i ja, poszliśmy chodzić po lesie; książę Marcin zatrzymał się, żeby pokazać księciu wojewodzie przygotowania do łowów. Królewicz powiedział, że chodzić woli i wziął mnie pod rękę. Długo milczał, jam dziwiła się temu, bo zawsze wiele zwykł mówić, szczególniej też ze mną, nareszcie zapytal się: „Czy nigdy zrozumieć nie zechcę, do kogo on tu przyjechał i po co?“ Zwyczajem moim odpowiedziałam: „Że zapewne do księcia Marcina, dla zabawy i polowania, które tak lubi.“ A on już ani tając się, ani dwuznacznie tłómacząc, jak najwyraźniej oświadczył, że przyjechał jedynie dla mnie i po szczęście całego

życia... Zdumiałam się na te słowa. „Gdzieżby to być mogło?—wyrzekłam—książę, czyż zapominasz czem jesteś, czem być możesz? Królewny dla ciebie...“ „Ty królową moją—zawołał z zapałem—tyś naprzód wdziękami zajęła te oczy, a potem skromnością i cnotą opanowałaś serce. Nawykłem, że mnie szukały inne kobiety, skorom przemówił do nich. Ty jedna, luboś mnie może więcej od tamtych kochała, unikałaś mnie zawsze, zgadywać trzeba było, co czujesz. Tyś godna pierwszego tronu świata i jeśli królem polskim być pragnę, to dlatego najwięcej, bym to piękne czoło koroną uwieńczył...“ Jakże ja nie mam myśleć, że mi się to wszystko śniło?... Kiedym osłupiała, odpowiedzi znaleźć nie mogłam, książęta zbliżyli się do nas. „Was i Niebo biorę za świadków—wyrzekł królewicz—jako innej żony mieć nie chcę, tylko tę Franciszkę Krasińską, stojącą tu przed wami; dla okoliczności łatwych do zrozumienia, żądam sekretu do pewnego czasu, wy tylko o miłości i szczęściu mojem wiedzieć będziecie, a kto mnie wyda, za nieprzyjaciela go poczytam.“ Książęta kłaniać mu się zaczęli, mówić o wielkim zaszczycie, zapewniać, że ukryją tajemnicę; szepnęli mi oba do ucha: „Godnaś tego!“ i nieznacznie odeszli. Jam jeszcze stała zdumiona, ale nareszcie trzeba było oczywistości uwierzyć, trzeba było odpowiedzieć czułym królewicza wyrazom; musiałam nawet wymówić, że go kocham i to oddawna; i zdaje mi się, żeć można uczynić takie wyznanie przyszłemu mężowi. Mężowi? znów odchodzę od siebie; czy nie czary to jakie?... Ale co słyszę? Północ bić będzie na zamkowym zegarze, jeśli to sen albo czary, mówią, że moc ich

o tej godzinie się kończy i znika... Słuchajmy... Już wybiła dwunasta, a nie skończyło się szczęście moje, nie znikła wielkość... A ten pierścionek odmieniony cóżby znaczył? Miałam od Basi pierścionek ze złotego węża, w Sulgostowie mi go dała; uważał go królewicz, taki sam zrobić kazał, wyryto w środku *na wieki!* i wziął mój, a ten mi włożył. Tych skromnych zaręczyn naszych drzewa i słowiki jedynemi były świadkami... I ja tego wszystkiego nikomu, księżnie nawet powiedzieć nie mogę; ani Basia, a więcej, ani państwo o tem nie wiedzą. Pierścionków tych nikt nie poświęcił, nie ojciec kochany oddał mnie przyszłemu mężowi, nie pobłogosławiła mi matka!... O już teraz wierzę!... nie sen to, ani czary, żal serce ścisnął, łzy obfite z oczów mi płyną... prawda!... wszystko prawda!...

Dnia 25 maja, w poniedziałek 1760, w Janowcu.

W tak ciągłem byłam omamieniu, tak przeznaczeniem mojem tem co jest, tem co kiedyś będzie, odurzona, że nie wiem czy to moja, czyby też polskiego języka wina, ale nie stawało mi wyrazów do opisania tego wszystkiego, jakby należało. Tydzień minął, ani jednego słówka nie nakreśliłam w moim dzienniku; a był to tydzień takiego szczęścia, tak godzien wspomnienia! I w środę i przedonegdaj i wczoraj brałam pióro w rękę; zawsze tyle się natłoczyło myśli i uczuć, iż nimem ładu z niemi doszła, nimem stosowne znalazła wyrazy, czas z trudnością na to upatrzony upłynął i wstać trzeba było od stolika. Dziś pierwszy raz uderzyła mnie myśl okropna, że to

szczęście moje podobno uleci i dziś pisać mogę. Dziwna rzecz, bojaźń i smutek miałyżby mieć więcej słów od szczęścia?... Królewicze Klemens i Albrycht przyjechali tu w czwartek; w tenże sam dzień zwierza dzikiego ze wszech stron nazwożono; przez piątek i sobotę polowanie się odbywało; dziś dwaj królewicze wyjeżdżają, jak mi pokojówka oznajmiła to przed chwilą, i mnie dziś pierwszy raz ta myśl uderzyła, że i on odjechać może... Przez ten tydzień cały, omamiona obecnem i przyszłem szczęściem, zajęta staraniem ukrywania go przed obcymi, wreszcie po raz pierwszy w życiu grająca rolę gospodyni domu—bo księżnie od tego stąpienia tak noga spuchła, że aż w łóżku leży i ja zastępować ją muszę — nie miałam bynajmniej czasu myśleć o tem, co nastąpić może, i nie wiem doprawdy, czym myślała, że to już rzeczy tak na zawsze zostaną, czy też podobno nie myślałam wcale; ale to wiem, iż bojaźń i smutek zupełnie mi wyszły z pamięci; dziś, jakby ze snu temi słowami pokojówki obudzona, czuję nieznośne udręczenie. Cóż to będzie, jak królewicz pojedzie? z jakąż ja myślą się obudzę? po co wstanę? dla kogo się starannie ubiorę? kim, czem przez dzień cały zajęta bedę? Ani wiem, ani wystawiam sobie, ani pojmuję... aż mi niedobrze... okno otworzyć muszę. A.... oddycham, lepiej mi teraz; choć dopiero szósta godzina, już postrzegłam w oknie pałacyku, w tym pokoju, gdzie on od przybycia braci mieszka, powiewającą chustkę białą. Taki co rano znak na *dobry dzień* mi daje; nie przyznam mu się nigdy do tego, broń Boże! iż dopiero raz jeden znak ten już zastałam wstawszy; nie chcę go zawstydzać, żem od niego

ranniejsza... Ale któż to tak pędem, perspektywą przez las wyciętą na koniu jedzie? może on? nie, to strzelec ulubiony jego; zapewne z bukietem dla mnie, wiem, że po niego o mil kilka do jakiejś oranżeryi posyłał. Czegóż ja się troszczyłam? po co te obawy? on tu jest jeszcze; od nikogo nie słyszałam, żeby miał wyjeżdżać; może wcale nie pojedzie, a przynajmniej nie tak prędko; ani wątpić, będę jeszcze miała i drugi i trzeci i czwarty takiego szczęścia tydzień.

Dnia 27 maja, w środę.

O nie! skończyło się na tym jednym! a już widzę, że pamięć jego, wszystkie następne w porównaniu z nim, czarne i posępne uczyni! Ale bo to najgorzej, kiedy się od poniedziałku źle darzyć zacznie. Te słowa pokojówki były pierwszemi, które usłyszałam w ten tydzień, i odtąd same złe nowiny słyszę. Zaraz tego dnia dowiedziałam się z pewnością i od strzelca, który mi bukiet przywiózł, i od samego królewicza, że wyjechać wkrótce musi; zaledwie pod różnemi pozorami trzy dni po braciach miał tu bawić; te jutro dopiero się skończą, a on już dzisiaj wyjeżdża. Król przysłał w nocy sztafetę z rozkazem, żeby wracał jaknajprędzej, pojechał raz jeszcze do pałacyku, bo tam ważnych papierów zapomniał, za pół godziny wróci, a potem pojedzie. Sam nie wie, kiedy się zobaczymy. Ach! czemuż to dni szczęścia krótsze są od innych?

Dnia 7 czerwca, w niedzielę.

Już blizko dwa tygodnie, jak królewicz pojechał, dwóch posłańców było od niego, dwa liściki wsunął do mnie pod kopertę księcia wojewody. Ale cóż to jest list? jakże to w nim słów i rzeczy mało dla tych, którzy rozmawiać, wszystko sobie zwierzać przywykli, i czytam je i odczytuję, zawsze toż samo. List tak mało zastąpi rozmowę, jak portret osobę; zostawił mi swoję miniaturę królewicz, dosyć podobna, ale cóż mi z niej? ja mam twarz jego jeszcze podobniejszą w pamięci wyrytą, a ten portret zawsze jednakowy, ani mówi, ani się uśmiecha. A nadto, jakże to czczą rzeczą jest list, na który odpowiedzi dać nie można, to istna z niemym rozmowa; bo co już tego, to przenieść na sobie żadnem prawem nie mogłam, zdawałoby mi się, że mi ręka uschnie, gdybym bez wiedzy ciotki, rodziców, starszej siostry, do kochanka jedną literę napisała; powiedziałam królewiczowi, że listu odemnie mieć nie będzie, dopóki żoną jego nie zostanę, i choć Bóg jeden wie, ile mnie to kosztuje, dotrzymam słowa... O! jakże po wyjeździe jego dzień każdy był nieznośny... byłabym chciała jakim cudem przespać czas jego niebytności... Mamże powiedzieć, co mnie z tego letargu obudziło! Księżna nagle zapadła, wskutek tego nieszczęsnego stąpnięcia, nie umiano się obchodzić z tą nogą odrazu, spuchła i zaogniła się tak mocno, że księżna dostała gwałtownej gorączki i przez trzy dni była bardzo źle. Ani wyrazić potrafię, co się ze mną przez te trzy dni działo. Nie sądziłam, żebym o czyje zdrowie, prócz

o zdrowie państwa, sióstr i kogoś jeszcze, tak niespokojną być mogła. Przez te trzy dni nie tęskniłam do królewicza, co więcej, rada byłam temu, że go tu niema, bo w jego przytomności nie byłabym mogła tak zupełnie zająć się księżną. Myśl, że ona umrzeć może, w rozpacz mnie wprowadzała, bo pomimo tego wszystkiego, co książęta, co królewicz co dzień mówili mi i mówią, ja znam dobrze, że ją milczeniem mojem obrażam i ta myśl trucizną jest dla mnie, bo niema zgryzoty nad zgryzotę sumienia; od samego początku cieszyłam się jedynie nadzieją, że przyjdzie dzień, w którym i jej i państwu i kochanej siostrze do nóg upadnę i mimowolny błąd wyznam; przez te trzy dni, kiedy w niebezieczeństwie była, ta nadzieja za każdą chwilą spełznąć mogła. Ach! cóżby się natenczas ze mną stało? Opanowała mnie także nie wiem zkąd ta myśl sroga, że i państwo już nie młodzi, że i ich nagła choroba, śmierć zaskoczyć może. Piekielne męki przez te trzy dni wytrzymałam; księżna zdrowsza, z Maleszowej były dobre wiadomości, ożyłam. Doprawdy, gdyby dziś powiedziano mi, że król pozwala synowi publicznie żenić się ze mną, nie mogłabym serdeczniej Bogu dziękować, jak kiedy doktór zaręczył, że księżna zdrową będzie, chociaż tamta wiadomość celem jest życzeń moich, bo cóż się to w sercu królewicza dziać musi? On, który pewny jest, że nietylko ukrywaniem swojej miłości, ale samą miłością srogo obraża ojca!... truchleję na tę myśl. O Boże! czemuż mi te uwagi dawniej nie stawały w pamięci? czemuż mi nie postały w głowie przy królewiczu? pocóż on odjechał? póki tu był, los mój tak świetnym, tak szczęśliwym mieniłam, teraz

zdaje mi się często, że niema nademnie nieszczęśliwszej istoty. Bo też tak jest. Obrażać najlepszych rodziców, ukochaną siostrę, szanowną ciotkę, być przyczyną tego, iż syn dobrego ojca, poddany króla swego obraża, to boleść dotkliwa, niepojęta, czemuż ja jej nie przeczułam? czemu mnie kto nie ostrzegł?... A gdy sobie przyszłość przypomnę, jakże gorąco pragnęłam tego, co dziś dzieje się ze mną, od jak dawnego to już czasu ta myśl wyniosła, jak wróg jaki, opanowała mój umysł. Nieszczęsny Macieńku! tyś ją podobno pierwszy mojej próżności podsunął. Szczęśliwa Basiu! czemuż królewicz nie urodził się równym moim? Równym? czy szczerze chciałabym tego? Ach! jak też dobrze, że nikt prócz Boga i nas samych w głębi serca czytać nie może; Bóg przez nieskończoną dobroć, my przez słabość tak wiele sobie wybaczamy!... Ale już pół godziny, jakem od księżnej odeszła, ona lubi mnie mieć koło siebie, nikt jej tak, jak ja, dogodzić w niczem nie umie i prawdziwie, mnie już teraz nigdzie tak nie jest dobrze, jak przy jej łóżku, tam czuję się być potrzebną, tam widzę z radością, że serca mego nie opanowało wyłącznie jedno uczucie.

Dnia 18 czerwca, we czwartek, w Opolu.

Księżna tak już znacznie do sił i zdrowia przyszła, iż przedonegdaj przyjechaliśmy tu; żal mi było wyjeżdżać z Janowca. W ostatnim liście zastraszył mnie królewicz, że do księstwa swego na parę miesięcy jechać będzie musiał; głowę sobie łamie, jakimby sposobem widzieć mnie przed odjazdem; dopieroż

to te miesiące żółwim krokiem iść będą, trapi mnie nadewszystko jego zmartwienie; jest tu kilka osób z Warszawy, jest nawet i biskup kamieniecki, tak godzien poważania i szacunku, i uspokoić się nie mogą nad zmienieniem się królewicza; mizerny, smutny, od ludzi stroni i to wszystko z mojej przyczyny. Ach, doprawdy wielki kłopot kochać kogo bardzo, wszystko w dwójnasób się czuje, a ponieważ więcej złego niż dobrego na tym świecie, trochę radości, wiele zmartwienia z każdem kochaniem przybywa. Co się też i ze mną stało? wszyscy mnie mizerną znajdują, kochana księżna składa tę zmianę na niewywczas i trudy przy niej poniesione, każda podobna jej mowa, każda pochwała przywiązania mego ku niej, jakby sztyletem serce mi przeszywa. Kiedyż się te okoliczności odmienią? kiedyż szczęście wróci? kiedy na tem sumieniu, tak niegdyś lekkiem, nic ciężyć nie będzie?

Dnia 11 lipca, w sobotę.

Zabłysła chwila szczęścia i minęła; był tu, ale tylko dwie godziny. W tę środę wyjechał z Warszawy niby go Kurlandyi, a on tymczasem, wysławszy tylko ekwipaże swoje, sam zamiast na północ, na południe się udał; przyjechał tu, a teraz dniem i nocą dąży, żeby razem z dworem swoim w Białymstoku stanąć; widziałam go tak krótko, że mi to widzenie snem się wydaje; przebrany za swego strzelca przyjechał, nikt go nie poznał, nikt też poznać nie był powinien, prócz mnie i księcia. Jak też mnie błagał, żebym pisywała do niego, płakał; szczęście wiel-

kic, że tak mało czasu byliśmy z sobą, bo kto wie, czybym się była dłużej łzom jego oparła. Trzy miesiące, czas najkrótszy pobytu jego w Mitawie, a ileż to dni w trzech miesiącach! Ile godzin, ile minut! niczem jeszcze byłoby samej cierpieć, ale jego to oddalenie tyle martwi; prawda, że zmizerniał do niepoznania.

Dnia 3 września, w czwartek.

Nie pisałam blizko dwa miesiące; minęły, bo widzę, że wszystko mija na świecie i złe i dobre. Czy smutno? mówić o tem nie trzeba, ale kiedy te minęły, może minie i ten jeszcze, który mnie od szczęścia dzieli; królewicz, ile razy do mnie pisze, zawsze upewnia, że w październiku wróci; dziś tak się ucieszyłam, zobaczywszy w tutejszym ogrodzie kilka liści suchych na ziemi, zdało mi się, że to już październik. Niezadługo pojedziemy do Warszawy, księżna zapomniała, że słabą była. Miałam przez ten czas wielką biedę, trafiła mi się znakomita partya, księżna, która od czasu słabości swojej dwa razy tyle mnie pokochała, zniósłszy się z państwem, razem z biskupem kamienieckim wszystko ułożyła i była pewną, że ja przystanę na te układy z radością. O Boże! jakże mi było bolesno zniszczyć te wszystkie jej plany, znieść jej gniew słuszny, słuchać uwag, napomnień, a nadewszystko przycinków dla królewicza i milczeć. A do państwa jakże mi trudno było list z przeproszeniem napisać? Udałam się w pokorę; słusznie mówią, że ona niebiosa przebija; Jmć dobrodziejka odpisać mi raczyła łaskawie, z żalem,

ale bez gniewu: „Rodzice, którzy wypuszczą córkę z rąk swoich, dziwić się nie mogą (pisze na końcu), jeśli ich woli nie słucha.“ Zwyczajne błogosławieństwo, krzyżyk macierzyński przesyła mi, a na gorące prośby moje zapewnia i ręczy, że Jmć dobrodziej się nie gniewa. Czym ja też przewidzieć mogła, że to, co szczytem szczęścia mieniłam, w taką otchłań utrapień mnie wrzuci; z owej pomyślności usnuło się zupełnie jakieś pasmo zmartwień; dzień każdy nowe, niespodziane do dawnych dodaje, a końca nawet przewidzieć nie można.

Dnia 22 września, we wtorek, w Warszawie.

Od kilku dni gościmy w Warszawie. Z jakąż radością zbliżałam się do niej, jak mi się piękną zdawała, tu królewicza obaczę; w ostatnim liście zaręczył mi, że na pierwszego października przyjedzie, to za tydzień; gdyby też nie ta nadzieja, uschnąćby już trzeba, a w Warszawie sto razy mi gorzej niż na wsi. Te wizyty, te ansamble, te ubiory, które dawniej tyle mnie bawiły, dziś mi są nieznośne; zdaje mi się, że każdy tajemnicę moją z mych oczów czyta, ale w zły jakiś sposób, bo jakby sobie szydzili ze mnie; osobliwie też białogłowy, jedna tak mi dopiekła wczoraj pytaniami, troskliwością swoją, że już łzy na doręczu były, a działo się to w obliczu pięciudziesiąt osób; nie wypiszę jej nazwiska, radabym go i z pamięci wymazać, gdyż wielką mam skłonność do nienawidzenia jej, a tego uczucia-by mi też jeszcze do zupełnej niedoli potrzeba. Książę wojewoda ulitował się nademną i w pomoc mi przyszedł,

niech mu Bóg stokrotnie tę dobroć zapłaci, zginęłabym już oddawna, gdyby nie on, zawsze w najtrudniejszym razie ratuje mnie; to tylko bieda, że wcale zmartwieniom moim nie daje wiary i kiedy się przed nim chcę użalać, on mnie dzieckiem zowie; już mu nigdy nic nie powiem.

Dnia 1 października, w czwartek.

Przyjechał, widziałam go, zdrów, ale cóż? widziałam go przy licznych świadkach i kiedybym była chciała wybiedz naprzeciw niego na dziedziniec, trzeba było czekać spokojnie przy stole, aż wejdzie do pokoju, z księstwem się przywita, i ukłonić mu się niziuteńko. To przynajmniej dobrze, że przyjechał i że zdrów, wszystko dobrze będzie.

Dnia 20 października, we wtorek.

O Boże! jakież ja to słowa wyrzekłam przed chwilą! jakąż obietnicę dałam! Cóż to się stanie za dni kilkanaście? Czwarty listopada, jakiż to dzień będzie? to imieniny królewicza i jakiegoż on wiązania się domaga? Oto ręki mojej, zaklął mnie na Boga, na rodziców, powiedział, iż zwątpi o mojem przywiązaniu, jeśli tego nie uczynię; zmiękczona łzami jego, zachęcona naleganiami księcia wojewody, obiecałam i już obietnicy mojej żałuję; ale on, jakże szczęśliwy odszedł! Jednak i królewicz musiał coś uczynić; chciał naprzód, żeby się to wszysko odbyło bez wiedzy państwa, tylko z wiedzą książąt Lubomirskich; już co temu oparłam się zupełnie, powie-

działam mu wyraźnie, że wolałabym raczej odrzucić miłość jego, zakonnicą zostać; pozwolił więc napisać do państwa i obiecał przypisać się do mego listu. Wyznam szczerze, że obraził mnie tem nieco; wszak to zawsze kawaler pokornie prosi rodziców panny o jej rękę; prawda, kawaler, ale nie królewicz. Dziś pierwszy raz uczułam z przykrością różnicę, jaka jest między nami, i to, że on łaskę mi robi, żeniąc się ze mną. Była chwila, w której cofnąć się chciałam, wszystko zerwać, ale już było za późno, jużem dała słowo. Teraz pisać do państwa trzeba, wyznać im tak długo tajoną miłość, taką ich obrazę, takie przestąpienie ufności i uszanowania, jakie dziecię każde rodzicom winne. O Boże! wielki Boże! natchnij mnie! dodaj siły! nie wiem, czy ten winowajca, którego przed sąd prowadzą, może więcej drżeć odemnie? czy nieszczęśliwszym być może?

Dnia 22 października, we czwartek.

Już pojechał zaufany pokojowiec księcia wojewody do Maleszowej. Ja dosyć byłam kontenta z mego listu, ale królewicz go zganił; powiedział, że zbyt pokorny i jabym też miała ochotę zganić nawzajem przypisek jego i powiedzieć, że zbyt królewski, ale mi książę usta zamknął. Jaka też będzie ich odpowiedź? Czasem mi się zdaje, że nie pozwolą, bo dziwna rzecz, iż od jakiegoś czasu wszelka próżność znikła z serca mego; to mi zdaje się niczem, że on jest królewiczem, księciem kurlandzkim, że królem polskim być może; a to wszystkiem, że on zezwolenia ojca, ja błogosławieństwa rodziców nie mam.

Jedna rzecz przynajmniej nieco mnie pociesza; Bóg natchnął mnie myślą, żeby prosić, czyby nasz proboszcz maleszowski nie mógł tu przyjechać i dać nam ślubu? Książę powiedział, że to uczyni, będzie przynajmniej jakieś wyobrażenie rodziców, jakiś cień przyzwoitości. Jakże mi teraz często los Basi w pamięci staje! ja myślałam, że ona mi mało życzy, a ona mi wiele życzyła kiedy, powtarzała: „Obyś tylko tak była, jak ja, szczęśliwą!“

Dnia 28 października, we środę.

Jest list od państwa, zezwalają, życzą nam szczęścia, ale w ich błogosławieństwie niema tej czułości, której Basia tyle doznała, i słusznie; jam na nią nie zasłużyła. Królewicz spodziewał się osobnego do siebie listu, niema go; obraził się tem cokolwiek i wiele mówił z księciem o dumie niektórych panów polskich. Już przynajmniej szczęśliwam z tego, że państwo wiedzą o wszystkiem, kamień spadł mi z serca; obiecali dochować sekretu, póki ich sam królewicz nie uwolni; w ich wyrazach przebija nieco radości i zdziwienia nad związkiem tak zaszczytnym, ale szczególniej w słowach kochanej matki jest jakiś żal rozlany; te mnie najmocniej dotknęły: „Jeśli będziesz nieszczęśliwa—mówi do mnie—nam swego nieszczęścia przypisać nie będziesz mogła, jeśli zaś, (o co Majestatu Boskiego błagać nie przestanę), szczęście w tem postanowieniu znajdziesz, rodzice cieszyć się nad tobą będą; ale nie tyle, co nad innemi, boś im nie dozwoliła pociechy przyłożenia się w czem do

szczęścia swego.“ Już prawie tych słów w liście państwa nie znać, tylem łez nad niemi wylała, w sercu zostaną na wieki. Proboszcz przyjedzie, a od dziś za tydzień już będzie po wszystkiem. Książę o indult się wystara, sekret dochowuje się dotąd wybornie, mnie samej wierzyć się nie chce, że ja panną młodą wnet będę. Żadnych przygotowań do wesela; wszystko cicho, głucho, to też wesela nie będzie! Mój Boże! na tydzień przed ślubem Basi co się działo w Maleszowskim zamku! Żebym przynajmniej królewicza codzień widywać mogła, ale czasem i dwa dni miną bez widzenia go. Boi się niezmiernie obudzić troskliwości króla, a bardziej jeszcze Brühla, więc i w publicznych miejscach mnie unika i u księstwa rzadziej bywa. Tak się też to dobrze udaje, że wczoraj na wieczorze u pani Moszyńskiej, którą bardzo kocham, usłyszałam przypadkiem taką rozmowę. Jakiś pan, mnie nieznany, mówił do drugiego: „Ale starościanka Krasińska dużo spasowała.“ „Nic dziwnego—odpowiedział tamten—wszyscy mówią, że pannie książę kurlandzki zawrócił głowę, on zaś kogo widzi pięknego, to kocha, oto i teraz udaje się do krajczyny i schnie niebożątko.“ Chociaż wiem, że królewicz tak umyślnie dla niepoznaki robi, zimny dreszcz przeszedł mnie na te słowa; wreszcie, jakże przykro pannie uczciwej być żarcików celem!... I nikogo, przyjaciółki żadnej, żeby jej się zwierzyć, rady zasięgnąć; pokojówkę, którą dotąd miałam, głupiuteńką (bo nie domyśla się niczego), książę aż gdzieś do Litwy odsyła, a za dni kilka mam mieć jakąś dobrego urodzenia pannę służącą, mężatkę, już w wieku, bardzo do rzeczy, ale której nie znam

wcale. Nie mam nawet z kim się naradzić, jak się ubrać do ślubu? Pytałam się księcia, on mi odpowiedział: „Jak codzień.“ O! jakże dziwne przeznaczenie moje; robię najświetniejszą partyę w całej Litwie i Koronie, a córka mojego szewca świetniejszą mieć będzie wyprawę i wesele.

Dnia 4 listopada, we środę.

Już stało się, jużem żoną królewicza; on mnie, ja jemu przed ołtarzem, przed Bogiem, niema temu jak godzina, wieczną poprzysięgliśmy wiarę i miłość. Okropny jednak był ten ślub! z takim strachem, tak nagle! jeszcze drżę cała i myśli swoich rozpoznać nie mogę... Już dwa dni nie widziałam królewicza, udawał chorego na mocną fluksyę, krokiem nie wyjeżdżał z domu i na dziś od obiadu u księcia prymasa i u posła hiszpańskiego, od balu u pana hetmana się wymówił... Pokojówkę moją onegdaj odesłano, a wczoraj przybyła owa panna, która księciu przed krucyfiksem zatajenie wszystkiego, co widzieć będzie, przyrzekła... Dziś o piątej rano zastukał do drzwi moich książę wojewoda; już byłam ubrana i na nogach od dwóch godzin. Udało nam się wyjść cichuteńko, królewicz i książę Marcin czekali u bramy, wiatr był niezmierny, ciemno zupełnie, szczęściem przynajmniej, że deszcz nie padał, poszliśmy piechotą do Karmelitów, pojazd byłby narobił hałasu, to kościół najbliższy, tam czekał poczciwy proboszcz; choć tak blizko, gdyby nie królewicz, byłabym kilka razy upadła. A w kościele jakże okropnie! cichość i ciemność grobowa, na ubocznym ołtarzu świec tylko

dwie, nikogo, prócz księdza i zakrystyana, rozlegał się odgłos naszych kroków, jak gdyby w odludnej jaskini. Nie trwała ceremonia i dziesięciu minut; ledwie się skończyła, jak gdyby nas kto gonił, uciekaliśmy z kościoła, królewicz odprowadził nas do bramy; książe Marcin gwałtem prawie go przymusił, żeby odszedł i wrócił do swego pałacu, bo stał długo i odejść nie chciał. Ubiór mój był codzienny, nawet nie biały, gałązkę tylko rozmarynu wetknęłam naprędce we włosy; wczoraj przypomniawszy sobie ślub Basi, nagotowałam sama sobie ze łzami dukat, kawałek chleba, trochę soli i cukru, ale dziś z wielkiego pośpiechu wziąć zapomniałam. I teraz jestem znów w moim pokoju, nikt mi nie winszuje, nikt nie błogosławi, wszyscy śpią; dnieje, a świeca się pali jakby przy umarłym, gdyby nie ta złota obrączka, którą niezadługo zdjąć i schować wypadnie, nie wierzyłabym, że jużem na wieki z królewiczem złączona, że wracam od ślubu, żem jest mężatką.

D. 24 grudnia, w poniedziałek, w Sulgostowie.

Już nie miałem pisać wcale dziennika; pozyskawszy dozgonnego przyjaciela, któremu wszystkie myśli zwierzałam, nie widziałam nawet potrzeby pisania go, ile że królewicz (bo już podobno tak go całe życie zwać będę), nie umie tak dobrze po polsku, żeby go mógł czytać i rozumieć; ale od dwóch dni los srogi, który mnie ciągle prześladuje, oderwał mnie od ukochanego męża, Bóg wie, kiedy się znów z nim złączę; trzeba do dawnego wrócić powiernika. O! jakże te dnie ostatnie były okropne! co wy-

padków! co ciosów! prawdziwa Opatrzność Boska, żem nie dostała zupełnego pomieszania zmysłów; jednak tu przyjechawszy, tak byłam dziwna, że gdym Basię i jej męża do osobnego pokoju wezwała, gdym im zaczęła opowiadać, że mnie księżna wojewodzina z domu swego wypędziła, żem ja niewinna, że jestem żoną królewicza; nieboga siostra, nie wiedząc o niczem, zdumiała; przestraszona, chciała biedz po ludzi, po ratunek, bo przekonaną była, że mam waryacyę. Teraz, kiedym im wszystko opowiedziała, kiedy wszystkiemu uwierzyli, ich rozsądek rozum mi przywrócił, i może potrafię tu zapisać tę straszną przygodę. Jak kiedy Bóg pozwoli, iż zupełnie szczęśliwą i spokojną będę (o czem wątpię, żeby kiedy nastąpiło), miło mi będzie odczytać te dawnych prześladowań losu opisy chociaż najdoskonalsze szczęście nie potrafi wymazać ich z pamięci. Już szósty tydzień od okropnego dnia ślubu naszego się skończył. Król, dwór, Warszawa cała, nikt w domu nawet ani się domyślał tego, co się stało; ja zawsze jak i dziś jeszcze starościanką Krasińska od wszystkich zwana; królewicz, nigdzie prawie nie uczęszczający, pod pozorem zdrowia; nasze schadzki przez księcia wojewodę ułatwiane i jemu tylko wiadome; ale tydzień temu królewicz wyjeżdżać zaczął, i jak dawniej i księstwu oddał wizytę. Byłam natenczas w pokoju; pierwszy raz od dnia jak mężem moim został, widziałam go w przytomności obcych, nie mogłam ukryć pomieszania, nie mogłam nie spojrzeć na niego mile i księżna to spostrzegła. Gdy odjechał, nie szczędziła łajań, napomnień, słów przykrych; ja, pewna niewinności swojej, odpowiedziałam

zbyt hardo; nieszczęsna! dałam nawet do zrozumienia, że nie płocha miłość z królewiczem mnie wiąże i ta odpowiedź przyczyną się stała całego nieszczęścia. Księżna przez dzień następujący niezmiernie była pomieszana, nazajutrz królewicz znów przyjechał; miał mi jakąś dobrą nowinę donieść, pewny, że dnia tego nie będzie mógł mówić ze mną na osobności, bilet napisał, a bawiąc się koszykiem moim do roboty, wsunął go zręcznie. Nie uszło to bacznego oka księżnej; ledwie wyszedł, porwała koszyk, a przeczytawszy na bilecie podpis: *Pour ma bienaimée*, już nie mogła gniewowi położyć granic; nie wiem, jak mnie nie zabiły na miejscu jej słowa, bo mnie nazwała zakałem, hańbą, wstydem rodu Krasińskich; bo mi powiedziała, że ojca i matkę w grób wpędzę. „Ale nie udadzą ci się te fortele—dodała jeszcze (gdy ja wskróś przejęta tym obelg nawałem, mogąc usprawiedliwić się jednem słowem, milczałam jednak, bom mężowi milczenie przyrzekła)—nie udadzą ci się, zapobiegłam ich skutkom, oto kopia listu, który dziś rano Brühlowi posłałam; w nim uwiadamiam go, że uczciwość i honor nad wszystkie familijne przekładając związki, nad wszystkie wielkości widoki, mam sobie za święty obowiązek donieść mu, że królewicz w tobie się kocha; błagam go, by wyrwał księcia z tych sideł, czynił, co mu się zdawać będzie, byle przerwać tę miłość póki czas jeszcze, byle mnie usprawiedliwić, żem do tej podłej intrygi nie należała, i chyba zbytecznem zaufaniem w cnocie własnej siostrzenicy zgrzeszyłam! Tak o wstydzie twoim i szalonej dumie może już teraz i król uwiadomiony!“ „Król!—zawołałam odchodząc zupełnie od siebie na te

słowa—niechże mu przynajmniej nikt nie powie, żem już jego żoną!“ a klękając przed księżną, z wielkim płaczem i łkaniem ściskałam jej kolana. „Żoną?—powtórzyła za mną—żoną? byłażebyś żoną królewicza?“ Na to zapytanie objęłam dopiero myśl okropną, iż zdradziłam tajemnicę; przelękniona, widząc już także przed sobą rozgniewanego męża, zdało mi się (znając szczególnie, z kim miałam do czynienia), że cały ratunek jest tylko w zupełnem wyznaniu. Zawsze więc u nóg księżnej, wyznałam jej wszystko, błagając o darowanie i o sekret przed światem całym. Bądź obrażona tak późnem i wymuszonem zwierzeniem się, bądź mając żal do samej siebie za porywczość swoją, a nie chcąc go przyznać, zdziwiła ją, lecz nie ułagodziła mowa moja. Prawda, wstać mi kazała, mówiąc, że nie przystoi tak wielkiej pani czołgać się u nóg czyich; przepraszała mnie, iż nie wiedząc o godności mojej, uchybiła mi nieraz, ale ręki swojej pocałować nie dala; a pod tym błahym pozorem, że dom jej niegodzien być królewiczowej, księżnej udzielnej, przyszłej królowej polskiej przytułkiem, natychmiast wszystko do odjazdu mojego przygotować kazała. Potrafiłam się wstrzymać od najmniej przykrego słowa, za co Bogu dziękować wiecznie będę; bo jakżeby dla słów kilku tyle dowodów przywiązania zapomnieć, z uległością szesnastoletniej panienki przysposabiać się do podróży zaczęłam, lubom wcale nie wiedziała, gdzie jechać? Nie wiem, czy ja, czy księżna wspomniała na szczęście Sulgostów; marszałek, który przyszedł po rozkazy pani swojej, usłyszał to słowo i w chwili jednej w przedpokoju i w garderobach ułożono, że ja do Sulgostowa na

święta Bożego Narodzenia jadę. Szczęśliwa z tego wniosku, potwierdziłam go; napisałam tylko długi list do królewicza na ręce księżnej, okazałam mu potrzebę zwierzenia się siostrze i szwagrowi i nie wyszło dwóch godzin, a zamknięta w karecie z panną moją, jechałam śpiesznie, ledwie wiedząc, co się dzieje ze mną. Dopiero zobaczywszy Sulgostów, przyszło mi na myśl, jak ja to wszystko siostrze i szwagrowi powiem. Nic nie wymyśliwszy, stanęłam przed ich pałacem; dlatego też Basia za waryatkę mnie wzięła. Już teraz tak dalece przyszłam do siebie, żem się serdecznie z tej imaginacyi razem z nią dziś śmiała; ale przez dwa dni śmiechu nie było i teraz jeszcze nie bardzom do niego skora, bo żadnej od królewicza nie mam wiadomości, zapewne go strzegą. Kamienne prawdziwie mam zdrowie, że mi te wszystkie wzruszenia mało co szkodzą; druga delikatna osoba mogłaby i śmierć znaleźć, nimby się owego szczęścia doczekała. Czy i ja doczekam go kiedy, to wielkie pytanie. Te nadzieje swobody i wielkości, spełniąż się kiedy?

Dnia 30 grudnia, w niedzielę.

Jadę do Maleszowej, może tam lepiej niż tu mi będzie; Basia miała także jechać, ale ponieważ spodziewa się słabości, mąż jej nie pozwala jechać; miałam list od królewicza, w rozpaczy, żem wyjechała, w gniewach na księżnę, w obawie wielkiej, czy Brühl wszystkiego nie odkryje. Ja koniecznie potrzebuję ztąd wyjechać; tak jestem nieszczęśliwa, że obraz powodzenia ukochanej siostry trucizną jest dla

mnie. Ten jej dom tak dobrze urządzony, te starania, ta miłość familii mężowskiej, te dowody nieustanne przywiązania państwa, troskliwości o jej zdrowie, ta Anielka taka przedziwna, która ją tak kocha, z której ojciec taki szczęśliwy, to wszystko rozdziera mi serce; a jednak Bóg widzi, jak serdecznie siostrę kocham, jak gorąco się modlę, żeby zawsze tak szczęśliwą była. Może gdy usłyszę z ust kochanych rodziców słowa przebaczenia, może gdy ich nogi ucałuję, spokojniejszą będę; może też rok z nimi zaczęty równie szczęśliwy będzie, jak owe lata, które niegdyś tak swobodnie w Maleszowej płynęły.

Dnia 5 stycznia 1761, w Maleszowskim zamku.

Już tu jestem od dni kilku i podobno pojutrze wrócę do Sulgostowa, bo tu jeszcze gorzej. Nie dla tego, żeby mnie państwo źle przyjąć, źle traktować mieli, owszem. bardzo są na mnie łaskawi; ale tu czuję mocniej niż gdziekolwiek, jak świetny jest los mój w imaginacyi, jak nędzny wistocie. Mała naprzykład rzecz napozór, ale niesłychanie dotkliwa; przyjechałam do rodzicielskiego domu prawie po dwóch latach niebytności, a żadnego gościńca nie przywiozłam siostrom młodszym, ani nikomu; pieniędzy wcale nie mam; panną będąc, nie potrzebowałam ich, księżna na wszystko łożyła, mnie tylko do ręki co miesiąc dwanaście tynfów dawała; na styczeń już i tego nie dostałam, a wolałabym umrzeć, niż królewicza albo państwo o pieniądze prosić; im też to jakoś do głowy nie przychodzi, muszą wzajemnie myśleć, żem niedostatecznie opatrzona. Basia, prawda,

jak od Sakramentek wróciła, chociaż mniej jeszcze odemnie pieniędzy miała, każdemu niemal jakiś podarek przywiozła; ale z nią wcale było co innego, ona sobie była młodziuchną panienką, niczem nie miała ani zajętej, ani nabitej głowy i sama swemi rękami moc drobnostek narobiła. Ja, choćbym była wiedziała, że tu przyjadę, nie miałabym była do podobnej pracy ani czasu, ani głowy, a kto wie, może i ochoty. Wystawiałam sobie zawsze, że jak do maleszowskiego zamku po ślubie zawitam, każdemu z dworzan i dworskich sypnę po królewsku; chłopki miały nawet dostać piękne czepki, dziewki wstążki, gospodarze czapki, a parobcy pasy, a tu na to wszystko złamanego nie mam szeląga. O! co się też to w tej głowie uwijało; jakże prawda mało do tych marzeń podobna!... Od tego czasu, jak tu jestem, jeszcze oczów z łez nie osuszyłam. Państwo tak szczególnie mnie witali; jam do ich nóg rzucić się chciała i takby mi dobrze tam było, a oni nie pozwolili i Jmć dobrodziej, jakby obcej, niziuteńko się kłaniał. I teraz jeszcze wstaje, jak ja wchodzę, nie usiądzie blizko przy mnie i ten pierwszy hołd uszanowania królewiczowskiej godności mojej oddany, srogą boleść mi sprawia. O! jeśli wszystkie hołdy i honory takie gorzkie będą, wolałabym prostą być szlachcianką!... Przy pierwszym obiedzie, który razem jedliśmy (i który, jak mi z przykrością uważać przyszło, niespokojną czynił Jmć dobrodziejkę, czy dosyć dobrym będzie), szepnął mi do ucha: „Mógłbym kazać stoczyć, niby na próbę, butelkę wina z beczki panny Franciszki; przykro mi go nie skosztować przy *pierwszym obiedzie*, ale zwyczaj jest, że pierwszy kieliszek pije

ojciec, a drugi pan młody; inny porządek za złą wróżbę miany... Ale czy przyjdzie kiedy podobna chwila?...“—dodał i westchnął tak głęboko, że mnie łzy puściły się z oczów; zupełnie jeść mi się odechciało, a przymuszałam się do jedzenia, bom widziała niespokojność kochanej matki i bałam się ją obrazić. O! ten obiad i wszystkie inne, prawdziwą dla mnie męczarnią! Już mnie i Macieńka koncepty nie rozśmieszają, bo i jemu się też nie klei. Jmć dobrodziej coraz na niego mruga, żeby co dowcipnego powiedział; on się sili, ale mu się nie udaje. Wczoraj i on mnie rozczulił; szpak wielki, zatem domyśla się wszystkiego; przyszedł cichuteńko do mego pokoju kiedy nikogo nie było, klęknął przedemną na obadwa kolana, a z miną na pół bufońską, na pół smutną, wyjął z zanadrza pęczek uschłych kwiatów i liści, białą wstążką związany, złotą iglicą spięty. Zrazu nie wiedziałam, co się to znaczy, aż przypomniałam sobie ów bukiet z wesela Basi; on wymówił tylko te słowa: *Ja czasem bywam prorokiem!* oddał mi go, a zawsze na klęczkach posuwając się w tył, doszedł do drzwi. Ileż mi rzeczy ten bukiet przypomniał, ile podał myśli! wstałam, a biegnąc za Macieńkiem, wyjęłam kosztowną szpilkę brylantową, którą mi dał królewicz, i wpięłam ją w kontusz jego. Ani on, ani ja, nie wymówiliśmy i słowa, ale podobno każde z nas dumało nad tem, że jeśli dziwną było rzeczą, iż spełniła się płocha wróżba jego, dziwniejsza jeszcze, że lubo spełniona, żadnym oczekiwaniom zadosyć nie uczyniła. To pisanie moje przerwała mi kochana matka. O! jakże dobrocią swoją ubodła mnie w serce; przyszła tu ukradkiem tak obładowana, że

ledwie iść mogła; naznosiła mi różnych kosztownych materyj, klejnotów, koronek, a złożywszy je na stołkach, z nieśmiałością powiedziała: „Przyniosłam tu cząstkę rzeczy, każdej z córek naszych należących się, przyniosłabym i więcej, ale cóż, kiedy to wszystko nie wydaje mi się dosyć pięknem, a nic piękniejszego, Bóg widzi, w całym domu nie mam. Jużem mówiła z Jmć dobrodziejem; przeda wiosek parę, żeby jak pora szczęśliwa przyjdzie i rzecz się wykryje przed światem i druga córka nasza stosowną do wysokiego zamęźcia dostała wyprawę.“ Zalana łzami, całować chciałam jej kolana, a ona mi nie pozwoliła i ciągle mnie przepraszała za te nędzne (jak ich zwała) podarki... O! już pojutrze niezawodnie wyjadę, bo i oczu dworzan i wykrzykników *madame*, siòstr i starych sług nad bladością moją, nad tem, żem jeszcze za mąż nie poszła, znieść nie mogę. Były też u mnie i owe trzy dziewczęta, którym przyrzekłam, że je wezmę do siebie, skoro za mąż pójdę; stary Jacenty przyprowadził sam swoją córkę. O! jakże mi te ich odwiedziny przykre były; jakżeby się zdziwiły, dowiedziawszy się, że mam już męża, a jednak ich nie biorę do siebie, bo ten mąż — królewicz.

Dnia 9 stycznia, w środę, w Sulgostowie.

Już wróciłam do siostry i nie zastałam listu od królewicza; nie wiem, czy nie chory, albo czy też król o wszystkiem się nie dowiedział i nie kazał strzedz go surowo. Wielka mi bieda, że księcia wojewody od połowy grudnia aż dotąd w Warszawie

nie ma, onby pewnie do mnie napisał; książę Marcin, roztrzepany, szczęśliwie zapomniał. Z pożegnania się z państwem niecom więcej uradowana, niźli z powitania; ale najmilsze chwile spędziłam w Lisowie; chciałam odwiedzić proboszcza w domku jego; zastałam go sadzącego świerki w swoim ogrodzie, pozwolił mi jeden najpiękniejszy na cmentarzu koło kościoła posadzić, i uczyniłam to własną ręką; smutną po sobie zostawiam pamiątkę [1]), ale bo też i ja smutna jestem. Wiele słów pocieszających usłyszałam z ust proboszcza i jakaś mężniejsza i szczęśliwsza z domku jego wyszłam. O! gdyby tylko wiedzieć, że królewicz zdrów!

Dnia 15 stycznia, we wtorek.

A! już też zupełnie nową walkę przez te dnie wytrzymałam! Czyż już żaden rodzaj udręczenia i boleści nie ma mi być obcym? Zupełnie niespodzianie, w chwili, kiedyśmy do obiadu siedli, hałas się zrobił w sieniach, usłyszeliśmy trąbkę pocztarską, drzwi się otworzyły i wszedł do sali minister królewski, Borch; zgadłam odrazu cel jego odwiedzin i zadrżałam jak listek; on zaś ukrył go pozorem chęci oddania swojej attencyi państwu starostwu, na których ślubie znajdować się miał zaszczyt. Taką grał rolę, póki się obiad nie skończył, pókiśmy nie zostali sami; ale wtedy, zaprosiwszy mnie do gabinetu pana starosty, powiedział zaraz z góry, że i on i Brühl

---

[1]) Ten świerk dotąd cieni tę starożytną budowę.

uwiadomieni o wszystkiem, ale się śmieją z tego; że to całe małżeństwo za dziecinną igraszkę uważane być powinno, że ślub taki bez wiedzy rodziców, nie od miejscowego pasterza dany, nic nie znaczy, i z jak największą łatwością zerwany być może. Przyznaję, że w pierwszym momencie, uwierzywszy niejako podobieństwu tych słów, ledwiem nie padła nieżywa; ale nagle przypomniawszy sobie, z czyim posłańcem mówię, objąwszy tę myśl, że od stałości obecnej los całego życia mego zależy, stawiłam się mężnie, ośmieliłam się obwinić i jego Brühla o podstęp, o chęć złudzenia nieświadomej białogłowy. „Ale nie jestem tak dziecinną i nierozsądną, jak świat sądzić może, dodałam w końcu, a on mnie słuchał zdziwiony; wiem, że ślub mój już ważny, bo był w kościele za pozwoleniem rodziców moich i biskupa, przez pasterza mojej parafji, przy dwóch świadkach zawarty; wiem, że są rozwody, ale wagi nie mają, póki obie strony aktu nie podpiszą, a mego i królewicza na rzecz takową podpisu ani gwałt, ani prośby żadne nie wymogą.“ Dziwię się sama teraz swojej śmiałości, Bóg mnie natchnąć musiał; Borch, który był przekonany, że odrazu do podpisania rozwodowego aktu mnie skłoni, zwłaszcza, gdy mi znaczny zapis w nagrodę pokaże, zdumiał się i dalszych namów zapomniał; dwa dni tu siedział i codzień podobne słowa słyszał odemnie; nareszcie tej przynajmniej żądał obietnicy, że gdyby kiedy królewicz na rozwód przystał, ja się sprzeciwiać nie będę. Na to zezwoliłam i on poprzestał na podobnem oświadczeniu na piśmie. O tom się najwięcej bała, żeby Basi ten przestrach nie zaszkodził; ona tak żywo dzieli wszystkie moje

zmartwienia i kłopoty, to prawdziwie *druga ja*; ale zdaje się, Bogu dzięki, że jej nic nie będzie. Biedny p. starosta tak już był o nią niespokojny; nad życie ją kocha!... O! smutne! smutne przeznaczenie moje! Zamiast pociechy i swobody, trwoga i niepokój zupełnie za mną chodzą!

KONIEC.

D Nr 130859

DOM KSIĄŻKI DOM

102 496

Cena

zł 30 gr–

CUW — Kd 31 CWD. W-wa. 1864/Wa
Prl - 2. Zam. 3133. 10.XI.55. 2000 x 100.